

Pomiędzy emigracją a ojczyzną

Rozmowa z Piotrem Guzym, polskim pisarzem, byłym pracownikiem Radia Wolna Europa, mieszkającym obecnie w Hiszpanii.



Piotr Guzy

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Od 1979 roku mieszka Pan w Hiszpanii. Czy czuje się Pan w tym kraju jak siebie?

Piotr Guzy: W Hiszpanii czuję się bardzo dobrze. Mieszkam na drugim piętrze budynku odległego o 100 metrów od morza. Jest winda, dla mnie, jednonogiego inwalidy wojennego, rzecz arcyważna. Ale nie mam tu żadnych prawdziwych przyjaciół. Od kiedy, 20 lat temu umarła moja żona, opiekuje się mną mój syn Juliusz. Ma on doktorat ze sztucznej inteligencji, z zamiłowania jednak jest artystą malarzem. Ma własne mieszkanie-studio, 50 metrów ode mnie.

Żona leży w niszy, w murze, na miejscowym cmentarzu, gdzie obok jest zarezerwowane miejsce dla mnie. Mam przecież 96 lat.

JSG: Pana ojciec, Juliusz był powstańcem śląskim. Proszę opowiedzieć o swoim domu rodzinnym.

PG: Ojciec, pracownik pocztowy, nigdy nie opowiadał o swoim udziale w dwóch powstaniach śląskich. Miejscowy oddział powstańców śląskich urządzał raz w roku majówkę nad Brynicą, gdzie się jechało umajonymi na zielono wozami. W domu było dużo dzieci, szkolne zadania domowe pisało się na kuchennym stole. Mieliśmy stosunkowo duży ogród, a więc też własne warzywa i owoce.

JSG: Jak to się stało, że zaczął Pan pisać?

PG: Moje pisarstwo zacząłem od napisania dwóch powieści po angielsku. Były na tyle dobre, że wziął je do znalezienia wydawcy agent literacki, polecony mi jeszcze w Poznaniu przez angielskiego pisarza. Tylko akurat w tym czasie „wybuchł” „Doktor Żiwago”, więc moje powieści nie miały żadnej szansy. I wtedy przerzuciłem się na język polski, napisałem „Krótki żywot bohatera pozytywnego”, który Jerzy Giedroyc z miejsca przyjął do opublikowania. Dał mi za niego nagrodę „Kultury”. Po sześciu czy siedmiu latach książka miała drugie wydanie. To był jedyny taki przypadek w historii Instytutu Literackiego. „Krótki żywot bohatera pozytywnego” został przetłumaczony na język niemiecki: „Kurzer Lebenslauf eines positiven Helden”, był też wiele razy recenzowany w prasie i radio. W tym roku ukazało się drugie niemieckie wydanie (Fisher Verlag), dwa darmowe egzemplarze przyszły właśnie wczoraj. W wolnej, postkomunistycznej Polsce książka nie miała ani jednego wydania mimo, że w „Dekadzie literackiej” ukazała się arcypozytywna recenzja. Szkoda, że polscy wydawcy jej nie zauważyli. Ale za to na Uniwersytecie w Rzeszowie pani Marcelina Janisz uzyskała stopień doktora za analizę mojej twórczości literackiej.

JSG: Wojna zdeterminowała Pana twórczość pisarską. Czy ten temat już się dla Pana wyczerpał, czy nadal w Panu

tkwi?

PG: Temat wojenny już wyczerpałem i nie sędzę, żebym miał do niego wrócić. Ale cóż tu można tak ostatecznie powiedzieć? Może się znajdzie jakaś ciekawa fabuła. Mnie na emigracji uważano za pisarza politycznego. Ja się przeciwko temu buntowałem. W dzienniku, który zacząłem pisać (pierwszy i jedyny odcinek Giedroyć wydrukował w „Kulturze”) napisałem, że moim marzeniem jest napisać powieść miłosną, w której A kocha się w B, ten zaś w C, C znowu w A. Taki miłosno- łożkowy romans. Zacząłem kilka powieści z taką intencją, ale po kilkunastu stronach wyrzucałem wszystko do kosza. Pokusa jednak trwa.

JSG: Po wojnie w Londynie studiował pan ekonomię polityczną i filozofię. Założył Pan też rodzinę. Co Pana skłoniło do tego, żeby z żoną Angielką i synem przyjechać do Polski w trudnych latach 50-tych?

PG: Nie zaliczyłem jednego przedmiotu na końcowym egzaminie na magistra ekonomii i nauk politycznych. A w Anglii nie można było pójść do profesora, który delikwenta przepytałby u siebie w gabinecie i ocenił. Tu trzeba było zdawać wszystko od początku i to pisemnie. Uznałem to za duży wysiłek. Poza tym chciałem pisać, myślałem, że Polska to nie Sowiety i da się tam żyć.

JSG: I dało się wówczas Państwu w Polsce żyć?

PG: W czasie prawie dziesięciu lat życia w Polsce zwanej „ludową” miałem trzy spotkania z bezpieką. Pierwsze było wkrótce po przeprowadzeniu się do własnego mieszkania w Poznaniu. Żona akurat wyszła na zakupy, byłem sam, siedziałem przy maszynie do pisania, gdy odezwał się dzwonek przy drzwiach. Poszedłem zobaczyć kto przyszedł. Dwóch facetów, jeden śmignął kwadratową legitymacją. „Jesteśmy z Urzędu Bezpieczeństwa, chcieliśmy z panem porozmawiać”. I już się pchają do środka. Powstrzymałem ich, niech wytrą buty o wycieraczkę (budynek jeszcze nie był wykończony), niech siadają i powiedzą o co chodzi. A chodziło o to, że oni zatrudniali studentów ze znajomością języka angielskiego.

„Zapyta taki Anglik na przykład, co to za dziwna konstrukcja na dachu domu. A ten od razu, że to jest aparatura do zagłuszania audycji Radia Wolna Europa w Monachium. Taki szczeniak chlapnie co mu ślina na język przyniesie, natomiast pan, człowiek dorosły, życiowo doświadczony, to co innego”.

Powiedziałem, że chętnie im pomogę, ale nie teraz, jestem w trakcie pisania nowej powieści, to mi zajmie mniej więcej rok, więc jak skończę...

JSG: Bezpieka dała za wygraną?

PG: Nie, jeszcze się o mnie upominali. Drugie spotkanie odbyło się w kawiarni na skraju Placu Wolności w Poznaniu. Nie pamiętam jak do niego doszło, nie pamiętam też o czym była mowa, wiem tylko, że w pewnej chwili po prostu wyszedłem.

Trzecie spotkanie miało miejsce w burzliwym okresie przed bunt robotników zakładów ZISPO (dawny Cegielski, gdzie się produkowało parowozy kolejowe, lokomotywy, wagony). Pracowałem wtedy w redakcji „Tygodnika Zachodniego”. Zadzwoił telefon na biurku. „Przyjechaliśmy z Warszawy... itd.”. Zaproponowałem, żebyśmy się spotkali w Kawiarni Bałtyckiej, prawie u wylotu mostu kolejowego, czyli na tak zwanym Kaponerze. Dla mnie tym razem sytuacja mogła być niebezpieczna, gdyż niecały tydzień wcześniej w ZISPO odbyło się otwarte zebranie partyjne, na które mogli przyjść niepartyjni pracownicy. Dwóch niepartyjnych kolegów z redakcji mnie namówiło, żeby wziąć udział w tym zebraniu. W olbrzymiej hali było około dwóch tysięcy ludzi. Przy długim stole siedziało „naczalstwo”, ważni przedstawiciele wojewódzkiego komitetu partyjnego oraz przedstawiciele władz w Warszawie. Na lewo od nich było podium, na które wchodzili robotnicy i wygarniali władzom partyjnym, co ich bolało. Brak masła na rynku, brak mięsa itd. Mówili jakby nie istniała cenzura. Na sali rozległy się olbrzymie oklaski. W pewnej chwili wstałem, zrobiło się cicho, powiedziałem, że też chcę coś powiedzieć. Przeszedłem całą salę, wstąpiłem na podium i powiedziałem, że robotnicy otwarcie

mówią o swoich bolączkach, o których zresztą wie całe miasto, ale jak to będzie przedstawione w jutrzejszym wydaniu gazety partyjnej? Będzie napisane, że odbyło się otwarte zebranie partyjne, na którym omówiono aktualne problemy żywnościowe. Coś tym rodzaju. Dlaczego nie napisze się prawdy?

Gdy wracałem na swoje miejsce towarzyszyły mi oklaski i okrzyki dwóch tysięcy ludzi. I oczywiście w gazecie nic o tym nie było. Dopiero dwa dni później w zakończeniu innego artykułu napisano, że „obywatel Guzy powinien bardziej uważać w swoich wypowiedziach publicznych”.

JSG: Jak zatem przebiegło trzecie spotkanie z panami z bezpieki?

PG: Przed wyjściem na to spotkanie zaszedłem do sąsiedniego pokoju, gdzie pracował mój przyjaciel Włodzimierz Odojewski. Poprosiłem, żeby przyszedł do tej kawiarni jakieś pięć minut po mnie, usiadł gdzieś z boku i obserwował. Jeśli wyjdę sam, to będzie oznaczało, że wszystko jest w porządku, ale jeśli wyjdę razem z nimi, będzie to znaczyło, że mnie aresztowali. Wtedy niech pojedzie do mnie i opowie mojej żonie Ishbel, co się stało.

Przyszedłem. Oni już czekali na mnie. Usiadłem i pytam o co panom tym razem chodzi? Tym razem najbardziej ich interesowały moje wizyty w ambasadzie amerykańskiej w

Warszawie. A ja tam zwykle raz na miesiąc jeździłem, żeby w wydziale konsularnym odebrać plik magazynów amerykańskich, potrzebnych mi w redagowaniu działu zachodniego naszego tygodnika. Raz konsul zaprosił mnie na kolację do ich prywatnego mieszkania. O tym panowie z bezpieki też wiedzieli. Powiedziałem mniej więcej tak. „Jeśli panowie mieli nadzieję, że uda wam się nakłonić mnie do współpracy, czyli zwerbować mnie jako waszego tajnego współpracownika, to się panowie pomylili. Nigdy, ale to nigdy, wybicie to sobie panowie z głowy, nigdy!”

Wstałem i wyszedłem wsiadłem do najbliższego tramwaju, który szedł na „Łazarz” i pojechałem do domu. Powiedziałem wtedy żonie, nie ma co, wracamy do Anglii.

JSG: Oprócz spotkań z bezpieką miał Pan też, jako pisarz, naciski ze strony cenzury.

PG: W latach 50. ubiegłego wieku ciągle jeszcze istniały w Polsce liczne organizacje podziemne, które w ten czy inny sposób walczyły z władzą ludową. Taką organizacją na przykład była WIN, czyli Wolność i Niepodległość. Były ich zresztą dziesiątki. Niektóre działały spoza granicy, często organizacyjnie i finansowo wspomagane były przez Amerykanów. Wysyłano np. baloniki z literaturą antykomunistyczną w stronę Polski, były też organizowane przerzuty amerykańskimi samolotami ludzi, których zadaniem było organizowanie sabotażu w fabrykach,

niszczenie maszyn itd. Bohaterem mojej powieści „Nocny zrzut” był właśnie taki człowiek zrzucony z amerykańskiego samolotu, który miał przeprowadzić akcję przeciwko władzy ludowej. Powieściowy bohater zaczyna się zastanawiać czy dobrze postępuje, ale zanim do czegoś dojdzie, dostaje się w ręce bezpieki. Zdawałem sobie sprawę z tego, że temat książki jest trefny, ale tyle tam było wątków sensacyjnych, że dało się z tego skleić dobrą „dreszczową” powieść. Pisząc starałem się zachować dystans, żeby mnie nie oskarżono o propagowanie komunizmu.

W tym czasie w Poznaniu rozpoczęły się procesy robotników oskarżonych o czynną działalność przeciwko oddziałom wojskowym, które zalały miasto po uśmierzeniu czerwcowego buntu. W tej atmosferze miały się zadecydować losy mojej książki, którą wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej przyjęło do druku po poczynieniu w niej pewnych korekt.

Do Poznania przyjechał Kazimierz Koźniewski i w hotelu Bazar przez dwa dni robił korektę polityczną książki, linia po linii, słowo po słowie. Gdy oponowałem, mówił: „My Hamletów nie potrzebujemy, u nas albo jest się z nami, albo przeciwko nam”. Cóż miałem robić. Trzeba też pamiętać, że Polska przeżywała wtedy okres najgorszego stalinowskiego terroru, ludzie żyli w strachu, że Sejm uchwali przyłączenie Polski do Rosji sowieckiej

i lada dzień rozpoczną się wywózki. W tej atmosferze moja książka została ideologicznie naprawiona i wydana. Nigdy się nią nie chwaliłem.

JSG: Po powrocie do Anglii pracował Pan w radio BBC. Na czym polegała Pana praca?

PG: W BBC pracowałem w monitoringu radiowym w Caversham obok Reading. Trzeba było zdać egzamin w Birmingham. W osobnym pokoju dawali arkusz papieru i ołówek, puszczała płytę z nagraniem „BBC NEWS”, trzeba było go wysłuchać, a potem trzeba zapisać to, co się zapamiętało. Zdałem egzamin bardzo dobrze. Po dwóch tygodniach dostałem *engagement*.

Pracowało się ze słuchawkami na uszach. Słuchało się dzienników polskiego radia oraz wybranych audycji. Ważne wiadomości trzeba było nagrać na *recorder*, a arcyważne tłumaczyć na angielski i zapisać na maszynie do pisania. W długich tekstach brało się stenotypistki do pomocy. Praca była stereotypowa, chyba że była jakaś wyjątkowa sytuacja. Pamiętam okres kryzysu kubańskiego, kiedy Ameryka postawiła ultimatum Sowietom, gdy ci instalowali swoje pociski balistyczne na Kubie. Ustalono godzinę, o której Rosjanie mieli dać odpowiedź. W całym tzw. *listening room* nastąpiła kompletna cisza, a gdy minęła wyznaczona godzina i Amerykanie nie zbombardowali statków sowieckich, kolektywnie odetchnęliśmy z ulgą. Nigdy tej chwili ni

zapomnę.

JSG: A jak wspomina Pan pracę w Radio Wolna Europa w Monachium?

PG: W rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa pracowałem przygotowując polskie dzienniki radiowe. Lubilem tę pracę. Mieliśmy dwie maszynistki, choć rzadko z nich korzystałem. Pracę rozpoczynało się o różnych godzinach. Ostatni dziennik leciał o jedenastej w nocy. Szło się potem przez Ogród Angielski i przez puste miasto. Podobnie było, kiedy przygotowywało się pierwszy poranny dziennik, który, jeśli dobrze pamiętam, szedł o piątej rano.

Praca była interesująca. Nie miałem żadnych zatargów z dyrektorem panem Janem Nowakiem-Jeziorańskim. Szanował mnie mimo tego, że mu wygarnąłem całą prawdę o Henryku Rozpendowskim, który jeszcze w Poznaniu groził mi, że mnie może zlikwidować. Był kapitanem w organizacji, którą potem uznano za zbrodniczą. Kiedy Nowak miał imienny, to przed jego gabinetem ustawiała się 15-to metrowa kolejka, każdy przychodził z jakimś kosztownym podarunkiem. Znany był przypadek, że Nowak odmówił przyjęcia zbyt drogiego prezentu. Byli też ludzie, którzy już od rana czekali, aż Nowak będzie szedł do swojego gabinetu, żeby móc mu się ukłonić. Mnie takie zachowanie raziło.

Lubiłem Monachium, mieszkaliśmy na tzw. Szwabingu, do radia można było iść piechotą. Niedaleko były Alpy, często więc wyjeżdżaliśmy w góry na cały dzień.

JSG: Czy Radio to było w tym czasie kawałkiem wolnej Polski, poza jej granicami?

PG: Nie sędzę, żeby Radio Wolna Europa w Monachium stanowiło część wolnej Polski. Oprócz tych pracowników, którzy grali w brydża, reszta chodziła „luzem”. Ja w każdym razie do żadnej „ferajny” nie należałem, a w domu mówiłem po angielsku.

JSG: W czerwcu 2017 roku w Pana rodzinnych Tarnowskich Górach miało miejsce uroczyste spotkanie z Panem, z udziałem władz miasta. Jakie znaczenie miał dla Pana powrót do korzeni, po latach życia poza krajem, z dorobkiem pisarskim osadzonym w problemach ojczyzny i jej trudnej historii?

PG: W Tarnowskich Górach byłem już wcześniej dwa razy. Teraz miałem wieczór autorski, byłem gościem mojego dawnego gimnazjum, poznałem kilka ważnych osób. W mieście kwitnie życie literacko-artystyczne, ale nie umiałbym tam znowu żyć. Lubię prywatność, samotność.

Tegoroczny przyjazd miał jednak dla mnie dodatkowe znaczenie.

Pojechaliśmy do wsi, w której się urodziłem, Zawadzkie. Dom mojego dziadka i jednej z moich ciotek znajdował się po drugiej stronie rzeki Mała Panew (przed wojną „Małapana”). Dojazd był tam trudny, ale jak głośno o tym rozmawialiśmy, podeszła do nas pewna pani i zaproponowała: „Panowie sami zbłądzą, ja panów zaprowadzę”. Dzięki tej kobiecie znowu zobaczyłem dom, który pamiętałem z dzieciństwa i wymieniałem kilka słów z mieszkającymi tam ludźmi. Kiedy wróciliśmy i żegnaliśmy się przy samochodzie, podziękowałem tej pani i poprosiłem ją o podanie nazwiska. Padło nazwisko mojego wuja, którego żona była siostrą mojej matki. Okazało się, że jesteśmy spowinowaceni, a mój wuj był jej pradziadkiem. Ta kobieta ma dwie córki, jedna ma doktorat z nauk społecznych, pracuje i mieszka we Wrocławiu, druga, młodsza, jest magistrem germanistyki, pracuje w Zawadzkim i mieszka z matką. Niezmiernie mnie to spotkanie uszczęśliwiło i miało dla mnie duże znaczenie. Byłem pewny, że nasza mocno rozgałęziona rodzina już wymarła, a okazało się, że nie. Może dożyję przyszłego roku, żeby tam jeszcze pojechać i się z nimi spotkać.



Piotr Guzy urodził się 15 maja 1922 r. w Zawadzkiem (Śląsk Opolski), zmarł 24 lutego 2018 r. w Walencji (Hiszpania). Uczęszczał do gimnazjum i liceum w Tarnowskich Górach. Brał udział w kampanii wrześniowej i był internowany w Rumunii. Stamtąd uciekł do Francji i wstąpił w szeregi wojska polskiego – służył w dywizji gen. Maczka. Po zakończeniu wojny studiował ekonomię polityczną i filozofię na Uniwersytecie w Londynie. W Anglii też założył rodzinę, ale wraz żoną i synem wrócił do kraju w 1949 r. Ukończył ekonomię na Uniwersytecie Poznańskim. W latach 1956-57 pracował w „Tygodniku Zachodnim”. W 1957 r. jednak wyjechał z powrotem do Anglii (powodem były prześladowania przez służbę bezpieczeństwa.

Pracował dla BBC oraz Radia Wolna Europa. Od 1979 r. mieszka w Hiszpanii. Należy do Związku Literatów Polskich.

Powieści Piotra Guzego:

- *Następny odchodzi 22.25* (Warszawa 1955).
- *Nocny zrzut* (Warszawa 1955).
- *Cienie na gwiazdach* (Warszawa 1956).
- *Wenus z brązu* (Warszawa 1956).
- *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (Paryż 1966, nagroda paryskiej „Kultury”, wydanie niemieckie 1968).
- *Stan wyjątkowy* (Paryż 1968, nagroda londyńskich „Wiadomości”).
- *Requiem dla pani Tosi* (Londyn 1990).
- *Zwidy na wysokościach* (Poznań 1994).

Piotr Guzy na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/z-zawadzkiego-pod-walencje/>

<http://www.cultureave.com/polubilem-te-moja-samotnosc--piotr-guzy-1922/>

<http://www.cultureave.com/juz-nie-skrzypi-moja-szafa/>

<http://www.cultureave.com/zakamarki-pamieci-wspomnienie-->

o-marku-hlasce/

<http://www.cultureave.com/uraza/>

<http://www.cultureave.com/upiorne-echa-przeszlosci-stand--wyjatkowy-piotra-guzego/>

<http://www.cultureave.com/literackie-swiaty-piotra-guzego/>

Adam Fiala. Artysta niepokorny.

Pomiędzy życiem i sztuką polskiego „Aborygena” w Australii.



Adam Fiala na tle Blue Mountains w Australii.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Z zawodu wyuczonego jest Pan prawnikiem, z zawodu uprawianego - artystą. Jak pan godzi te dwa zawody?

Adam Fiala: Na szczęście nigdy nie musiałem wybierać. Jako prawnik byłem rodzajem artysty, jako artysta rodzajem prawnika, znałem się na prawie autorskim i *copy right*. Owszem studia polegały na nauce pamięciowej, potem aplikacje: sądowa i adwokacka, ale gdy wreszcie zdobyłem zawód radcy prawnego stałem się prawnikiem artystą. Pracowałem tylko w terenie na

małych działkach – pólki, ćwiartki. Dawało to w sumie wynagrodzenie górnika dołowego przy minimalnej stracie czasu. Nie obowiązywało mnie siedzenie w urzędzie, wyjeżdżałem dwa razy w tygodniu najpierw w województwie lubelskim, potem warszawskim, w tak zwany teren. Pieczęcią radcy podbijałem działania prezesa i ta praca się utrzymywała przy odrobinie szczęścia, a takowe miałem, do ogłoszenia stanu wojennego.

Potem się znacznie popsuło, tak więc nie żałowałem radcostw wyjeżdżając z kraju. W 1985 zjawiłem się w Australii, która z natury kochała karczujących pionierów – emigrantów, a nie radców prawnych z PRL-u.

JSG: Wybrał Pan prawo, jako kierunek studiów ze względu na tradycję rodzinną?

AF: No właśnie, prawo. Ojciec był adwokatem, wuj adwokatem. Ale ja osobiście uważałem prawo za suche i nudne. W Lublinie wtedy nie było Szkoły Aktorskiej czy też Konserwatorium, moje młodzińcze pasje to nie było prawo, ale aktorstwo oraz gra na fortepianie. Uwielbiałem grać utwory klasyczne, zwłaszcza Chopina. Kto wie, gdybym poszedł do Konserwatorium, może brałbym udział w Konkursie Chopinowskim?

Ojciec był pomocnikiem wuja i marnie zarabiał, tak że w domu się nie przelewało. Poza tym większość pieniędzy pochłaniało

hobby ojca, czyli zbieranie unikalnych znaczków pocztowych. Później za taki jeden znaczek można było kupić małego Fiata. Ale los się tak ułożył, że nic nie dostałem w spadku po rodzicach, jeżeli nie liczyć czarno-białego albumu fotograficznego ocenzonego przez matkę, bo był między rodzicami konflikt zakończony rozwodem i wyjazdem ojca z Lublina.

Prywatna nauka gry na pianinie dała mi możliwość zajęcia się później poezją śpiewaną, ale nie miałem większych sukcesów w tej dziedzinie i jak wyczuwałem... perspektyw. Byli inni dużo lepsi. Ponoć na dłoni mam znak, że wybrałem niewłaściwy zawód. Ale ja sobie świetnie dawałem radę z tymi terenowymi radcostwami przez dobre kilkanaście lat i zdobywałem materiał niezbędny dla pisarza czyli „samo życie”.



Adam Fiala (w środku) z bratem i kuzynem, fot. arch. rodzinne.

JSG: Artystyczne zamiłowania miała Pana mama?

AF: Moja matka była urodzoną artystką, miała bardzo sprawne ręce, robiła świetnie kopie znanych polskich malarzy. Jej problemem było to, że nie stać ją było na studia na Akademii Sztuk Pięknych, kupa rodzeństwa, bieda. Mój dziadek, a jej ojciec był kowalem artystycznym, gdyby dożył, w Polsce Ludowej nieźle by sobie radził. Teraz to chyba by go zameczono podatkami, bo obecni urzędnicy są bardzo sprawni, w odróżnieniu od dawnych. Matka w pewnym okresie też dobrze zarabiała, wykonując ręcznie malowane Madonny dla *Ars Christiany*. To zajęcie traktowane było przez ówczesne władze finansowe jako rzemiosło artystyczne, czyli wolne od podatku.

Przestała malować, gdy wprowadzono podatek.

Matka zbierała moje dziecięce rysunki lokomotyw, mimo, że powątpiewała w mój talent, bo od początku inaczej rysowałem i malowałem niż wszyscy. Mówiła „kto to kupi?” Ale jednak później sprzedawałem obrazy przez Desę Handlu Zagranicznego w Warszawie, miałem nawet kilka wystaw w Europie. Matka nie rozumiała, dlaczego ta dziwna sztuka ma mieć przyszłość. Cała rodzina uwielbiała Matejkę, a wybrzydzała na Picassa, lansowanego wtedy przez „Przekrój”, kiedy jeszcze oficjalnie trwał socjalistyczny realizm.

JSG: Jakie wartości przekazała Panu rodzina?

AF: Przede wszystkim wartości religijne. Chodziłem na nabożeństwa do pobliskiego kościoła na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Bardzo żałowałem, że później łacinę zastąpiono językiem polskim. Łacina miała coś dla mnie z mistycyzmu i spirytualizmu. Kochałem Lubelski Cud w katedrze z płaczącą za komunistów Matką Bożą. Tak, lubię religię, ale bynajmniej nie jestem pobożny. Religię traktuję jako sprawę kulturową, właśnie te korzenie, o których mawiał nasz Papież, *nota bene* profesor KUL-u.

JSG: Proszę opowiedzieć o swoim debiucie literackim.

AF: Nieformalnie debiutowałem bardzo wcześnie. Wuj adwokat prowadził gościnny dom w Warszawie, ożeniony z autentyczną księżniczką, panią M. Miała mirtę książęcą w metryce i herb. Otóż tam napisałem pierwszy rymowany patriotyczny wierszyk o Polsce w niewoli, z optymistycznym zakończeniem, że „kraj ukochany wreszcie zrzuci kajdany”, co się stało. Czasy, prywatnie biorąc, były trochę mistyczne, wuj zasuwiał firanki i puszczał płytę „Czerwone Maki na Monte Cassino”. Była to zakazana melodia tak jak za Niemców: „Siekiera, motyka, piłka, szklanka”.

Prawdziwy mój debiut wiąże się ze snem. Pod naszym mieszkaniem lokatorskim w Lublinie była suterena, w której mieszkała samotna kobieta z siedmioma kotami. Polewałem je z góry, gdy wygrzewały się na słońcu. Otóż śniło mi się, że przez jej suterene przejeżdża pociąg parowy, taki, jakie wtedy jeździły. Opisałem sen, wydrukowali, dostałem 100 złotych honorarium. Pomyślałem, że to niezłe zajęcie być Panem Literatem, jak mówili milicjanci do pisarzy. Teraz czasy się zmieniły, trzeba samemu zapłacić, by coś opublikowali. Widocznie pisarze za mało walczyli o Nowe.

JSG: Czy są Państwo emigracją Solidarnościową?



Adam Fiala jako student
prawa na UMCS w
Lublinie, w latach 60., fot.
arch. rodzinne.

AF: Tak, jestem emigrantem epoki solidarnościowej, mimo że oficjalnie do związku nie należałem. Ale podobał mi się Wałęsa – brunet, przystojny, przypominał nieco Piłsudskiego, z poczuciem humoru, bo podpisywał dokumenty olbrzymim długopisem i lubił mieć Matkę Boską w klapie. Ja mam maleńki medalik Matki Boskiej z Niepokalanowa, wszyty w portfel, to mój talizman. Lubiłem też jego zwrot „w temacie”. Wyobrażałem go sobie jako

Konrada Wallenroda. Musiał wejść w system, by z nim walczyć. Stąd dla mnie te wszelkie rozważania: Bolek nie Bolek nie mają większego sensu. Nasz „Papa” też nie był przeciwnikiem systemu, był obojętny. W przeciwnym wypadku nigdy by nie został arcybiskupem, a potem papieżem. W wyniku porozumienia między rządem a kościołem, kościół wyznaczał kandydatów na wysokie stanowiska, ale rząd ich akceptował. A że Jan Paweł II był znakomitym dyplomata, to już zupełnie inna sprawa...

JSG: Dlaczego wyjechali państwo tak daleko, aż do Australii i jakie były początki pobytu w obcym kulturowo świecie?

AF: To był los. Złożyliśmy podania do Stanów, Kanady, Australii i właśnie ten ostatni kraj nas zaakceptował, ale z pewną wyczuwalną niechęcią. Mimo, że Niemcy dawały mi azyl jako prześladowanemu członkowi rozwiązanego Związku Literatów Polskich, dla Australii było to obojętne, przyjęto nas ze względów humanitarnych oraz dlatego, że mieliśmy koneksje z „siostrą bratowej”. Mówiliśmy panu w Niemczech, który pomagał w pisaniu podań, że siostra bratowej to słaby argument, lecz on odpowiedział: „Ale siostra”. I miał rację. Siostra bratowej nie pojawiła się wprawdzie na lotnisku, a mimo to nie cofnięto nas do Niemiec. Mieszkaliśmy najpierw w Hostelu w Melbourne, a potem przenieśliśmy do prywatnych apartamentów w Perth. Bardzo mi się podobało słowo: apartamenty. Pisarz musi być

wrażliwy na słowa.

Było trochę ciężko, nowy, tak różny od europejskiego świat, no i z zimy w zimę, bo wylądowaliśmy w Melbourne, które ma klimat „cztery pory roku w jednym dniu” akurat w czerwcu. Kocham słońce i tego mi brakowało. W Perth otrzymałem go z nawiązką, co skończyło się rakiem skóry. Ale nie przejmowałem się, bo „co ma wisieć nie utonie”.

JSG: Proszę opowiedzieć o życiu artysty w Australii.

AF: W Australii, wyznającej zasadę multikulturalizmu, życie artystyczne było dość skomplikowane. Wielokulturowość w praktyce oznaczała, że powinien się udać do swojego kulturowego środowiska czyli Polonii w Perth, która była jakaś niełaskawa i do tej pory taka pozostaje. Krążył dowcip, że i Picassa by skierowano jako „etnika” do grupy Latino. Brałem udział w licznych wystawach, ale zrezygnowałem, bo bardzo trudno było się przebić. Polska grupa była modna w okresie Solidarności, ale gdy w Polsce zmienił się system jakoś o niej w Australii zapomniano. Nie biorąc pod uwagę, że emigracja z Polski była zawsze dynamiczna, w myśl zasady „Polak potrafi”.

Polak miał także duże zdolności do improwizowania. Ale nie słyszałem by w Australii jakiś polski pisarz czy artysta się wybił kulturowo na same szczyty, choć wiem, że na przykład pani dr

Teresa Podemska, poetka i literaturoznawca, włożyła w porównaniu ze mną, dość leniwym, ogrom wysiłku studiując i studiując. Mnie już się nie chciało powtarzać kursu prawa. Zresztą do tego potrzeba doskonałej znajomości języka, ja do tej pory mam kłopoty ze *spelingiem* i prawidłową gramatyką, choć i owszem piszę teksty piosenek dla siebie w języku angielskim czy australijskim.

Sztuka w Australii jest bardzo zbiurokratyzowana. Tutaj to kochają. Wystawy praktycznie, poza wyłożeniem sporych kosztów, dają to, że nadal tkwi się w punkcie jeden. Ale jeżeli ktoś kocha tworzenie, tak jak ja, to go to mało obchodzi. Kocham sam proces pisania, malowania czy muzykowania. Medale, nagrody, osiągnięcia, są dla mnie wtórne. Zresztą kiedy byłem aktywnym klientem opieki socjalnej zauważyłem, że oni bardzo nie lubili *artu*, więc o tym już nie wspominałem. Co lubili? Nie wiem. Może kucharzenie i malowanie ścian. Teraz jestem pełen podziwu dla tak zwanych artystów ulicznych zdobiących mury. To ciężkie i niebezpieczne dla zdrowia zajęcie.



Adam Fiala na wycieczce w Sydney.

JSG: Jak Australia odbiła się w Pana twórczości?

AF: Australia okazała się znakomitym źródłem wszelkich pomysłów, zwłaszcza, że czułem się artystą podziemnym i niezależnym. Robiłem to, co sam chciałem, co mi bardzo odpowiadało bowiem jestem naturalnym samoukiem. Obserwuję pilnie innych, ale przede wszystkim lubię własne przemyślenia i koncepcje. Gdy byłem w Polsce fascynował mnie absurd i szarość życia. Tutaj było kolorowo, ale zawsze trochę absurdu można było z powodzeniem znaleźć. Gdybym traktował Australię jako

ład przysłowiowych „Saksów”, dawno bym stąd odleciał. Wielu znajomych to zresztą zrobiło...

JSG: Jakie ma Pan doświadczenia z australijskim środowiskiem polonijnym?

AF: Polonia marudziła na nas, że nie mamy stałej pracy (literaturę i sztukę uważano za hobby). Ciągłe to słyszeliśmy. Nawet u lekarki, u której zacząłem się w końcu leczyć na depresję. Problem był w tym, że nikt z naszej trójki nie mógł znaleźć stałej pracy. Jedynie syn Andrzej przez pewien czas pracował w instytucji opiekującej się seniorami i to za pół darmo. Stara Polonia podobno ciężko fizycznie pracowała, nawet przy karczowaniu drzew, to był warunek jej przyjęcia po wojnie, gdy w Polsce zapanował komunizm. Ciągłe więc słyszeliśmy, że żyjemy na koszt podatnika i najgłośniej o tym mówiła właśnie Polonia, a nie kulturalni i dyskretni Australijczycy, traktujący każdego po imieniu, bez tego: „Pan wie, kim ja jestem?”

Niektórzy moi lubelscy znajomi mawiali, że pod płaszczykiem wesołkowatości ukrywam depresję. Mieli rację. Depresja jest najpowszechniejszą chorobą XXI wieku. Nowością dla mnie było to, że dowiedziałem się, iż nawet ludzie sukcesu jak Churchill (pomijając jego politykę, dostał Nobla literackiego) mieli *black dog* czyli głęboką depresję. Ja miałem depresję z powodów rodzinnych. Ojciec: dyrektor, adwokat, radca prawny, był

prymitywnym domowym tyranem. Ale nie uciekałem w alkohol czy środki farmakologiczne (o narkotykach wtedy nie mówiono nawet). Uciekałem w przyrodę, na pobliskie pola, na zmarznięte zimą grudy. Do Starego Lasu. To było moje najlepsze i najskuteczniejsze lekarstwo.

Gdy znalazłem się w Australii depresja powróciła. Na emigracji mogłem jedynie jeździć na taksówce. Jakaś siostra zakonna w Melbourne doradzała mi bym został motorniczym tramwaju. Jednak byłem marnym kierowcą ze słabą orientacją w ulicach. W Warszawie z tego powodu oblałem prawo jazdy. Egzaminator na pudełku papierosów napisał „Orient”. Brzmiało to filozoficznie, ale chodziło o moją orientację w terenie. Powiedzieli, że nigdy nie powinienem zasiadać za kółkiem. Nawiasem mówiąc tego egzaminatora spotkałem później w Ustce, kiedy dojechaliśmy tam wraz z żoną Anną i synem Andrzejem, naszym groszkowym fiacikiem, którego później trzeba było zamienić na paszport.



JSG: Od czasu debiutu literackiego, jak wygląda Pana przygoda z piórem?

AF: Jako azylant w Niemieckiej Republice Federalnej odczuwałem chwile euforii, z zapałem rozpocząłem pisanie mojej „Odnowy”. Myślałem, że na nią będzie zapotrzebowanie w Wolnym Świecie. Posłałem do *Polish Book Fund* w Londynie. Nawet się początkowo podobała. Ale potem zażądali dużych skrótów, następnie okazało się, że zebrali pieniądze, ale muszą wydać rzecz o księdzu Popiełuszce, więc moje odpadła. W końcu odmówili zwrotu maszynopisu, mimo mojej licznej korespondencji. Więc już początki z moją twórczością w Wolnym Świecie były pechowe.

W Australii twórczość traktowałem jako rodzaj pracy, wykonywanej systematycznie w godzinach rannych, mając świeży i kreatywny umysł. Pisałem i rysowałem bardzo dużo dla dzieci. Miałem już pewne doświadczenie w tej dziedzinie. Lubelskie Wydawnictwo opublikowało moją „Podróż Tomka na dwie Planety”. W Polsce znajomy literat Zbigniew Fronczek umożliwił mi opublikowanie „Prywatnej Australii”. A potem zaczępiłem się jako grafik i autor w krakowskiej „Miniaturze”. I na tym był koniec. Pojawił się mur nie do przebycia. Wynajęliśmy nawet lokalną anglistkę-poetkę w Perth, żeby wygładzała mój język, bo Andrzej twierdził, że używam polskiej składni i

angielskich słów. Też miałem zerowe rezultaty. Depresja się pogłębiała. I znowu z niej musiałem wyjść, tym razem nie na pola i lasy, ale na piękne plaże Perth. Są czyste, nie zatłoczone i ciągną się prawie w nieskończoność.

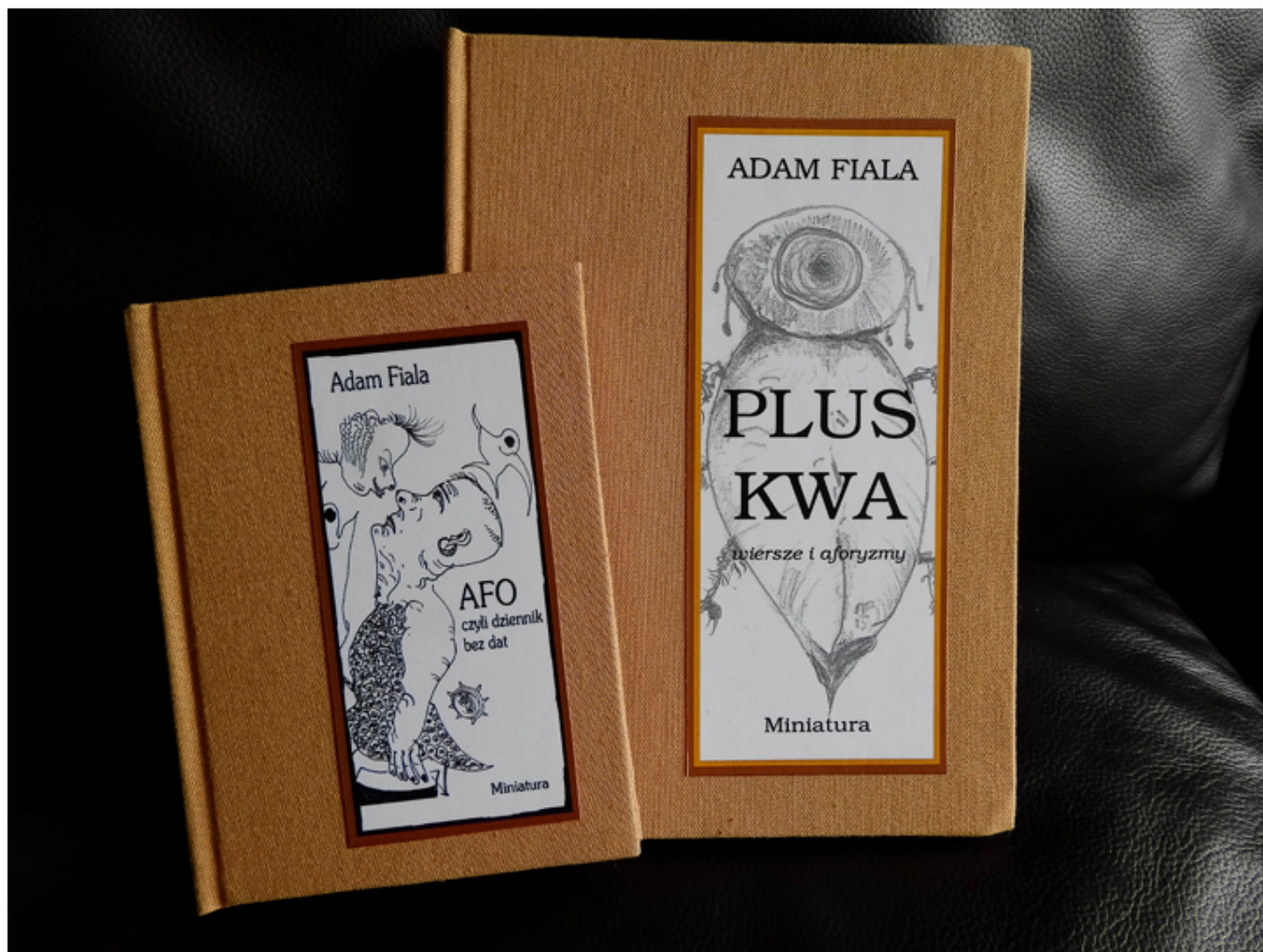
Oglądałem ostatnio słynną *Bondi Beach* w Sydney. Owszem, piękna, ale to tylko podkowa. W Perth możesz iść, iść, iść. Prawie w wieczność wyimaginowaną. Depresję leczyłem także u polskiej lekarki doktor K. Była to kobieta sukcesu. Jedna z niewielu z nowej postsolidarnościowej emigracji, która pracowała w swoim zawodzie. Była też niezłym psychologiem, często załamywała nade mną ręce, ale pomagała wystawiając zaświadczenia, dzięki którym trwałem. Dla profesorów i intelektualistów naturalnym rozwiązaniem jest na emigracji nie taksówka, ale dalsze studiowanie nawet w podeszłym wieku.

JSG: Jakie jest Pana podejście do życia?

AF: Z natury jestem samotnikiem i indywidualistą, a także naturalnym samoukiem. Moim wzorem w młodości był Van Gogh, który się sam nauczył malarstwa. Ponoć rozbijał gipsowe figury, które mu polecono kopiować, dlatego niczego formalnego ze sztuki nie dokończył. Zresztą chciał być pastorem, ale znalazł poważną rozbieżność między mistycyzmem, a praktycznym życiem kościoła. Mnie właśnie w religii pociąga spirytualizm i mistycyzm, którego obecnie kompletnie brak. Ba, nawet jest

przez autorytety niemile widziany.

W moim życiu uspokojenie nastąpiło dopiero wtedy, gdy oficjalnie dostałem australijską emeryturę, dzięki czemu mogłem skupić się tylko na mojej twórczości. Systematyczna działalność rankami spowodowała, że nagromadziłem potężne *body of work* zarówno w sztuce jak i literaturze. Nie wspominając już o tym, że napisałem i skomponowałem około 300 piosenek. Dostałem za nie kilka razy nagrody na konkursach w Sydney poświęconym Strzeleckiemu i Kościuszce. Dużo też pomaga mi gra na australijskim *didgeridoo*, ponieważ lubię Kulturę Aborygenów. Sam się nawet poniekąd uważam za Polskiego Aborygena w Australii...



JSG: Uprawia Pan różne dziedziny - rysunek, malarstwo, poezję, a także muzykę. Czy te dziedziny się dopełniają? Buduje Pan pomiędzy nimi mosty?

AF: Głównym mostem w mojej twórczości jest humor i satyra. W Polsce ze względu na pisanie obyczajowe połączone z humorem, porównywano mnie z Dickensem, którego bardzo lubiłem. Potem polubiłem Franza Kafkę.

Początkowo zakładałem (przylatując znałem już trochę angielski, nawet czytałem Steinbecka w oryginale), że mój poziom języka

tak się rozwinie, że bez trudu będę pisać poczytne powieści, wreszcie zarabiając na siebie i rodzinę. Tak się niestety nie stało. Poza tym rodzina się rozpadła. Po czasie wróciłem do Anny, ale już nie jako mąż, ale po prostu przyjaciel, współpracujący z nią w dziedzinie sztuki. Anna ma znakomite oko fotografa, malowała piękne, bardzo wysmakowane obrazy, tkła też gobeliny. Miała dużo więcej wystaw niż ja, choć też nie zrobiła tzw. kariery.

W międzyczasie dowiedziałem się, że żywot pisarza w wolnym, pozostawionym kraju, też stał się pod każdym względem trudny, więc nie żałowałem tej ucieczki, bo tak to można by nazwać. Jechaliśmy niby na leczenie syna do Francji, wysiedliśmy z pociągu we Frankfurcie nad Menem i tak dalej, i tak dalej toczyło się to nasze życie...

JSG: Co Pana fascynuje w otaczającym świecie i czym się Pan inspirował w swojej twórczości?



Adam Fiala w Domu
Polskim w Bedford.

AF: Lubię zjawiska nadprzyrodzone i niewytłumaczalne. Spirytualizm znalazłem w bardzo dynamicznej sztuce Aborygenów, której jestem entuzjastą. Ich *dreamtime* stał się moim *dreamtimem*. Nauczyłem się gry na *didgeridoo*, która ma właśnie spirytualne brzmienie, prawie dosłownie. Potrafię grać na tym instrumencie kwadrans bez żadnej przerwy. Ich malarstwo przypomina mi pewne okresy twórczości ulubionego przeze mnie Picassa. Pamiętam z Polski dowcip, ławki malowano w „stylu Pikas”, tak było w oficjalnych cennikach.

Aborygeni z drugiej strony są bardzo pamiętliwi, ciągle wspominają krzywdy wyrządzone im przez białych. Ja mam inną naturę. Po jakimś czasie nawet do wrogów nie żywię urazy. W Polsce studiowałem na KUL-u za wstawiennictwem wujka księdza, którego lubiłem, ale nie zgadzałem się z pewnymi doktrynami, a zwłaszcza z celibatem. Najpierw byłem na historii sztuki, a potem po prawie, na psychologii w ramach tak zwanej filozofii chrześcijańskiej. Lubiałem KUL, bo na jego terenie czułem się jak w innym państwie. Studenci KUL-u nie mieli obowiązku uczestniczenia w zajęciach na studium wojskowym (moje małe udręki), a także KUL nigdy nie brał udziału w manifestacjach pierwszomajowych. Trudno było nie lubić tego święta, bo zawsze świeciło w tym dniu słońce. Jako studenci byliśmy politycznie obojętni, nikt ze znajomych nie słuchał „Wolnej Europy”, zresztą bardzo zagłuszanej. Cieszyliśmy się, że mamy studia za darmo i bardzo tanie książki. No i było mnóstwo rajdów turystycznych, czy biesiad literackich.

JSG: Na jakie etapy podzieliłby Pan swoją twórczość?

AF: W twórczości widzę etap fascynacji i etap dojrzewania czyli przemyśleń. Ale też lubię kompletną spontaniczność, działanie podświadomości i wyciąganie pomysłów, jak królika z przysłowiowego kapelusza. Fascynacje znajdowałem w Polsce w pięknym słonecznym lubelskim lecie oraz mroźnej i też słonecznej zimie. Gdy wyemigrowałem do Warszawy (pierwsza

emigracja) już tego słońca nie było. Większość pochmurnych dni na Równinie Mazowieckiej. Perth w Zachodniej Australii ma idealny klimat, minimalna ilość burz i najwięcej słońca z całej Australii. A także czyste, nie zatłoczone plaże i piękny Ocean Indyjski. Czego więcej potrzeba człowiekowi? Domów, sportowych samochodów? Mam dwa rowery i dzięki nim dobre zdrowie. Mieszkam niedaleko plaży.

W Polsce czytałem „Żywot człowieka poczciwego”, ja swój mogę nazwać „Żywotem człowieka szczęśliwego”. Ale też znam osoby z Polski nie znoszące Australii, każdy ma prawo do własnego punktu widzenia.

JSG: Różne Pana pola twórczości, zarówno te literackie, jak i wizualne łączy jedno - przedstawia Pan wewnętrzne demony tkwiące w człowieku za pomocą symboli i znacznej deformacji rzeczywistości. Czy taka jest Pana intencja?

AF: Tak, kocham symbole i znaki. Złapałem to od Aborygenów. Stąd także fascynacja sztuką japońską i chińską, potrafię pisać haiku, mam w swym prywatnym zbiorze kilkaset sztuk haiku. Lubię też naśladować ich pismo, podobnie jak mimiczne gesty osób głuchych. Z tym drugim to trzeba uważać bo nazywają to złośliwą parodią i od razu oskarżają o rasizm czy podobne dyskryminacje. Wewnętrzna cenzura obecnie wyznacza granice humoru. I honoru. Ale oficjalna też jest, zwłaszcza obyczajowa.

Australijczycy mają bardzo ubogi zakres przekleństw. Właściwie tylko jedno słowo na „f”. Polacy i Hiszpanie w tej dziedzinie mają więcej pomysłowości...

JSG: Czy Pan się uważa za artystę figuratywnego, spirytualistycznego czy surrealistycznego?

AF: Jestem półfiguralny, półabstrakcyjny i półspirytualny. Kocham duchy i zjawiska nadprzyrodzone i fascynują mnie morderstwa, których nie można wykryć mimo kolosalnych nakładów. Napisałem nowelę o zaginionym samolocie w Oceanie Indyjskim do tej pory nie odnalezionym. Napisałem też o samolocie zestrzelonym nad Ukrainą. Oczywiście fantazje. Obie sprawy są nadal nie wyjaśnione. Dlaczego to napisałem? No, dla własnej przyjemności i satysfakcji, kto by się beznadziejnie prosił w australijskich wydawnictwach? Szkoda i czasu i stresu, który zawsze towarzyszy tego typu działaniom. Lubię, że nie wszystko trzeba odkrywać i najlepiej niech pozostaje tajemnicą.



Adam Fiala zimą w parku w okolicach Perth w Australii.

JSG: Gdyby miał Pan możliwość rozpocząć swoją karierę zawodową od początku, i wiedział by Pan o sobie, to, co wie Pan teraz, poszedłby Pan tą samą drogą?

AF: Najprawdopodobniej wylądowałbym, gdyby się cofnął czas, nie na prawie, ale w Wyższej Szkole Teatralnej. Fascynował mnie polski komik Adolf Dymsza, miałem naturalne zadatki komika, rozśmieszałem klasę ku utrapieniu nauczycieli i w konsekwencji ciągle wzywanej matki. Na akademiach szkolnych recytowałem wiersze, nie, nie o Stalinie tylko satyry o bikiniarzach, to coś w rodzaju *punków* obecnego czasu. Bikiniarze mieli spodnie wąziutkie jak rurki i olbrzymie samodziałowe marynary. A także lekceważyli socjalistyczną, żelazną dyscyplinę pracy. Był taki wierszyk: „Bikiniarze to są ludzie tacy” i tak dalej łatwo

dośpiewać do rymu. Ułożyłem też kiedyś wierszyk o KUL-u. Tam była słynna impreza na cały Lublin: doroczny, jesienny bal na KUL-u, zwany Eutrapelią. Dokładnie nie wiedziałem co to znaczy, ale podobała mi się nazwa. Ułożyłem taki wierszyk:

Eutrapelija, twista wywija,

ksiądz rektor z nami, fika z KULwami.

Z tym że KULwy to były po prostu studentki KUL-u, a nic więcej.

Głównym problemem każdego pisarza czy artysty jest potrzeba zarabiania na życie. Teraz, gdy mam już 77 lat i dobre zdrowie mam to z głowy, poza tym mam dwie emerytury, australijską i polską. Więcej grzechów w tej dziedzinie nie pamiętam, a te które pamiętam niech mi będą odpuszczone...

Adam Fiala na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/adam-fiala-wiersze-i-rysunki/>

Inne artykuły:

http://www.zrobtosam.com/PulsPol/Puls3/index.php?sekcja=4&arty_id=14744

<https://australink.pl/slawa-chwala-polonii-australijskiej--czyli-o-adamie-fiali/>

Galeria prac Adama Fiali ukáže się na Culture Avenue w śróde 22 listopada 2017 r.

Czasem wystarczy jedno zdanie...



Magdalena Baczevska, fot. Wojciech Kubik.

Bożena U. Zaremba: Pochodzi Pani z muzycznej rodziny - mama jest pianistką, ojciec śpiewał w chórze Filharmonii Śląskiej, dwie siostry są muzykami. Czy to właśnie rodzina miała największy wpływ na to, czym się Pani zajmuje?

Magdalena Baczevska: Jak najbardziej. To, że nawet podczas mojej dziecięcej drzemki słyszałam, jak mama ćwiczy na fortepianie, na pewno ukształtowało moje muzyczne zainteresowania. Poza tym mama była - i dalej jest - chodzącą encyklopedią muzyczną i zawsze mogłam ją pytać o wszystko, a w domu było mnóstwo książek muzycznych. Muzyka wypełniała 99% naszego życia. Cały nasz wolny czas spędzaliśmy muzykując, chodząc też na koncerty i dyskutując na temat muzyki.

BUZ: Czy w pewnym sensie zawód został wybrany za Panią?

MB: Być może, chociaż ja bardzo wcześnie zakochałam się w muzyce i w graniu. W wieku pięciu lat rozpoczęłam naukę gry na fortepianie u Pani Jadwigi Góreckiej, żony zmarłego kompozytora Henryka Góreckiego, która natychmiast wyrobiła we mnie wrażliwość na dźwięk i silną potrzebę słuchania. Dzięki jej wręcz matczynej opiece nabrałam przekonania, że muzyka będzie w centrum mojego życia i nie wyobrażałam sobie robienia czegoś innego.

BUZ: Nie miała Pani wrażenia, że coś Pani traci?

MB: Były momenty, kiedy patrzyłam przez okno i widziałam, jak dziewczynki z sąsiedztwa grały w gumę i było mi przykro, że nie mogę do nich dołączyć, ale też pamiętam, że od małego dumnie brałam swoje pierwsze nutki pod pachę i szłam na lekcje fortepianu. Czułam wtedy, że robię coś szczególnego. Poza tym zawsze lubiałam się uczyć. Moje siostry do dziś nazywają mnie kujonkiem [śmiech]. Szczególnie fascynowały mnie języki obce. Od babci wcześnie zaczęłam się uczyć niemieckiego, potem przyszedł angielski. Znam siedem języków, a teraz uczę się chińskiego na *Columbia University*.

BUZ: W wieku 16 lat otrzymała Pani propozycję studiowania w Stanach i wyjechała Pani z Polski. Czy

adaptacja była trudna?

MB: Była łatwiejsza niż dla niektórych moich kolegów i koleżanek na uczelni. W akademiku miałam współlokatorkę z Ohio, która przeżyła znacznie silniejszy szok kulturowy niż ja, która przyjechałam z Katowic. Mnie natomiast szokowały astronomiczne ceny. Nie miałam jeszcze wtedy warunków do zarabiania pieniędzy i moi rodzice na te pierwsze lata moich studiów wydali wszystkie swoje oszczędności. Świadomość tego, ile oni muszą poświęcić, żeby mnie utrzymać było dla mnie trudne.

BUZ: Stypendium nie pokrywało kosztów życia?

MB: Nie. Być może, gdybym była w innej szkole, poza Nowym Jorkiem, byłoby łatwiej, ale to, że profesor Rose, który zaprosił mnie do studiowania w *Mannes College* jest nie tylko wspaniałym pedagogiem, ale i mentorem, nie wyobrażałam sobie, żeby studiować gdzie indziej. A Nowy Jork mnie wciągnął i do dzisiaj jestem zauroczona tym miastem, mimo, że jest hałaśliwe, ciasne i bardzo przeludnione. Jest w nim taka magia i energia, że zawsze cieszę się, kiedy mogę do niego wrócić.



Magdalena Baczewska, fot. Tan Dun Studio.

BUZ: Jak Pani sobie daje radę z ogromną konkurencją w Nowym Jorku?

MB: Myślę, że decydując się na życie w Nowym Jorku, wszyscy musimy się godzić na to, że będziemy partycypować w swego rodzaju wyścigu szczurów. Często się tutaj mówi, że trudno jest rzucić w Nowym Jorku beretem nie uderzając w pianistę. Ale przyzwyczaiłam się do tego i myślę, że jeżeli kochamy muzykę na tyle, by stała się integralną częścią naszego życia, znajdzie się miejsce dla każdego.

BUZ: Jak Pani porówna edukację muzyczną w Polsce i USA?

MB: Z jednej strony byłam bardzo dobrze przygotowana i

mogłam uczestniczyć w zaawansowanych zajęciach, takich jak kształcenie słuchu czy teorii. Ale z drugiej strony wyszłam z doświadczenia ze szkoły w Polsce, gdzie staje się na baczność przez profesorem, a tu nagle nauczyciele stali się jakby naszymi partnerami, których nie musieliśmy się bać. Mogliśmy swobodnie zadawać pytania i swobodnie wypowiedzieć się na każdy temat. To było dla mnie nowe i trochę szokujące, bo nie byłam przyzwyczajona do tego typu partycypowania.

BUZ: Jest Pani równie uznaną pianistką co klawesynistką. Mówi się o tym, jak różniąca się znacznie technika może być przeszkodą w graniu na obu instrumentach. Co natomiast artysta może zyskać?

MB: Rzeczywiście technika jest na tyle inna, że wiele lat zajęło mi, żeby swobodnie przesiadać się z jednego instrument na drugi. Jeżeli chodzi o plusy, to granie na klawesynie otwiera nasze oczy i uszy na zupełnie inną estetykę. Jako pianiści jesteśmy zachęcani do tego, żeby odtwarzać jak najbardziej wiernie, natomiast jeżeli chodzi o muzykę klawesynową, jest tu dużo więcej miejsca na improwizację, na twórczą inwencję i wykazanie się dobrym gustem.

BUZ: Oprócz bogatej działalności koncertowej i pedagogicznej, zrobiła Pani doktorat. Co Panią skłoniło do kontynuowania studiów?

MB: Będąc kujonkiem [śmiech] nie miałam właściwie innej opcji. Chciałam się uczyć jak najwięcej i jak najdłużej. Chciałam też jak najbardziej zgłębić sekrety muzyki. I zakochałam się w uczeniu. Poza tym i moja mama, i tato są pedagogami, więc być może gdzieś to w moich genach zostało. Praca pedagogiczna daje mi poczucie spełnienia i czuję się obdarowywana energią od studentów, którzy są równie głodni wiedzy jak ja. Zdecydowałam się na studia doktoranckie też po to, żeby być jak najlepszym pedagogiem dla moich studentów.



Magdalena Baczevska, fot. Richard Auber.

BUZ: Pani praca doktorska* traktuje o wpływie krasomówstwa na interpretację pianistyczną.

MB: Tak. Oratorstwo, ale i komunikacja były kluczowymi aspektami mojej pracy. Muzyka Bacha jest często interpretowana jako coś czysto mechanicznego i dydaktycznego. Oczywiście mnóstwo jego muzyki zostało napisanej z myślą o dydaktyce. Natomiast jest to muzyka z krwi i kości i myślę, że grzechem jest interpretowanie jej w sposób suchy i jednolity. Bach chciał swoją muzyką dotrzeć do ludzi i sam miał niewiarygodną wiedzę w dziedzinie retoryki i przemawiania w sposób przekonujący. Warto też pamiętać, że w okresie Baroku panował inny od dzisiejszego poziom bogobojności. Muzyka była, jak określił to św. Augustyn, podwójną modlitwą. Bach jako osoba bardzo religijna traktował muzykę jako formę medytacji, modlitwy i chwalenia w ten sposób Boga.

BUZ: Muzyka grana w kościele dalej pełni taką rolę.

MB: Tak, ale weźmy też pod uwagę to, że 300 lat temu kościół był dla wielu jedynym miejscem, gdzie można było usłyszeć muzykę. Do dworu królewskiego mieli dostęp tylko nieliczni, natomiast do kościoła mógł przyjść każdy i doświadczyć tam najwyższej formy muzyki.

BUZ: *Cantabile*, które zajmuje równie istotną część Pani rozważań co komunikacja, to wartość głównie estetyczna, więc, czy porusza Pani też temat frazy? Bo bez frazy mamy tylko ciąg pięknych dźwięków...

MB: Jak najbardziej. Każda fraza tworzy zdanie, a połączenie nawet dwóch nutek jest słowem. Wspominam też o tym, że jeżeli chcemy podkreślić jakieś ważne słowo zatrzymujemy się przed nim, żeby je bardziej wyselekcjonować. Jest to równie ważne w mowie, jak i w śpiewie. Powinno być też ważne w muzyce.

BUZ: Czyli to nie jest to samo *cantabile*, z jakim mamy do czynienia w muzyce Chopina?

MB: Słowo *cantabile* u Chopina pochodzi od stylu operowego *bel canto*, długich fraz, soczystych pociągnięć frazowych, natomiast u Bacha, *cantabile* oznacza styl deklamacyjny. A jeżeli chodzi o Chopina, to wiemy, że kochał operę i śpiew w stylu *bel canto* i nawet zachęcał swoich studentów do uczenia się śpiewu, bo twierdził, że tylko dzięki śpiewaniu, dzięki odpowiedniemu oddychaniu można być prawdziwie dobrym muzykiem i produkować dźwięk, który jest przyjemny dla ucha. Wszystko inne Chopin nazywał „szczekaniem” [śmiech]. Ale oczywiście same sukcesywne piękne dźwięki nic nie komunikują, więc jest istotne, ile emocji wkładamy w daną frazę. Biorąc udział w kursach mistrzowskich miałam okazję grać dla wielu wspaniałych pianistów, którzy często zwracali uwagę na to, że każda fraza powinna mieć coś do powiedzenia, powinna mieć emocję przypisaną do siebie. My jako muzycy, powinniśmy wiedzieć, co chcemy powiedzieć przez daną frazę. Nigdy nie powinno to być przypadkowe.



Magdalena Baczewska, fot. Agnieszka Mandal.

BUZ: Porozmawiajmy jeszcze o Chopinie. Co Panią najbardziej zachwyca w jego muzyce?

MB: O, mogłabym długo opowiadać [*śmiech*].

BUZ: Zamieniam się w słuch.

MB: Jest coś w muzyce Chopina, co „narasta” i pozwala się odkrywać z każdym dniem na nowo. W jego muzyce jest niezwykła prostota, pod którą kryją się niezliczone pokłady elegancji, kunsztu i wyrafinowania. Jest całkowicie uniwersalna, bo jest na tyle prosta, że przemawia do naszych serc i do osób niewykształconych muzycznie, a na tyle skomplikowana, że dla

muzykologów jest to projekt, który może trwać przez całe życie. W muzyce Chopina mieści się cały wszechświat.

BUZ: Czy taka dogłębna wiedza, jaką Pani posiada może przeszkadzać w graniu?

MB: Zdarza się, że czasem słyszy się muzyków, którzy są tak przejęci sprawami teoretycznymi, że zapominają, że muzyka tak naprawdę powinna dotrzeć do naszych serc. Czasem brak muzycznego wykształcenia wręcz pomaga. Wykonawcy muzyki folkowej często nie mają pojęcia o tym jakie interwały śpiewają, w jakich rytmach i metrach się poruszają. Muzykują więc bez skrępowania i ze znacznie większą swobodą od ludzi wykształconych muzycznie, dla których podobne kwestie są skomplikowane i niewygodne.

BUZ: A jak to się ma do odbioru?

MB: To zależy. Mnie czasem irytuje u niektórych wykonawców ignorancja czy też niechęć zgłębienia partytury. Ale to nie znaczy, że wykształcenie muzyczne jest niezbędne, żeby być prawdziwie wzruszonym muzyką.

BUZ: Nagrała Pani cykl trzech płyt „Music for Dreams” we współpracy ze specjalistami od snu. Skąd zainteresowanie tym tematem?

MB: Podczas jednego z moich nowojorskich koncertów, na którym grałam „Wariacje Goldbergowskie” Bacha podzieliłam się z publicznością faktem, że utwór został napisany dla hrabiego Kaiserlinga, który cierpiał na bezsenność. Dr. Stern, który jest specjalistą od zaburzeń snu, podszedł do mnie po koncercie i zapytał, czy nie chciałabym współpracować z nim nad płytą z muzyką, która pomagałaby jego pacjentom zrelaksować się przed snem. Trochę mnie to zdziwiło, bo zawsze starałam się zainteresować publiczność, a nie ją uśpić [*śmiech*]. Ale zgodziłam się, i okazało się, że to było bardzo ciekawe wyzwanie**. Okazało się, że jest na to duży popyt, więc nagrałam dwie dodatkowe płyty pod tym samym tytułem i teraz płyty z serii „Music for Dreams” grane są w prawie 30 tysiącach domów. Ale ten projekt to jest również historia miłosna – Dr. Stern został potem moim mężem.

BUZ: Z innych Pani ciekawych inicjatyw, to zajęcia dla seniorów.

MB: Tak, to są zajęcia dla seniorów z Nowego Jorku, z którymi łączę się przez Internet i gram im utwory jednego kompozytora, bardzo często przez nich wybranego. Potem rozmawiamy przez system telekonferencyjny. Chodzi tutaj o interakcję, o to, żeby seniorzy byli jak najbardziej aktywni umysłowo. To są bardzo ciekawi ludzie. Niektórzy są byłymi śpiewakami operowymi, aktorami czy pisarzami i dyskusje z nimi są bardzo inspirujące

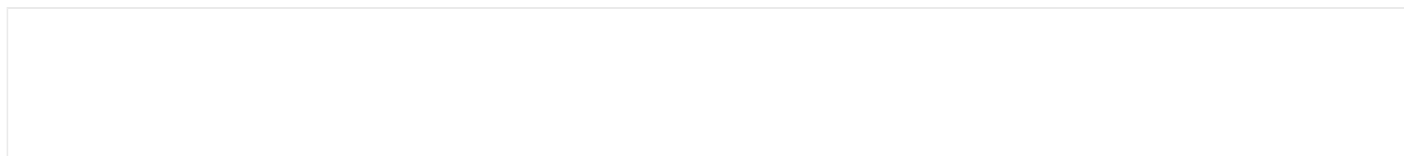
dla obu stron.

BUZ: Podczas koncertów ma Pani zwyczaj opowiadania o muzyce, czy o kompozytorze. Czy w Atlancie możemy na to liczyć?

MB: Jak najbardziej, z wielką przyjemnością. Zależy mi na tym, żeby słuchacze jak najwięcej wyciągnęli z tego doświadczenia. Taki wstęp pomaga publiczności być bardziej zaangażowanym. Czasem wystarczy jedno zdanie, żeby wprowadzić słuchacza w tajemnicę muzyki.

*Tytuł pracy: „In Search of Bach’s Cantabile: The Role and Aspects of Oratory and Singing in Keyboard Interpretation”

**Dodatkowe informacje (w języku angielskim) na temat procesu twórczego związanego z tą płytą i powiązań między mózgiem człowieka z muzyką można znaleźć na stronie: <https://store.cdbaby.com/cd/magdalenabaczewska1>



Koncert organizowany przez Chopin Society of Atlanta odbędzie się 11 listopada w Johns Creek United Methodist Church. Wywiad w języku angielskim dostępny na stronie:

<http://www.chopinatlanta.org/interviews/MagdalenaBaczewska.html>



Magdalena Baczevska, fot. Agnieszka Mandal.

Chcę inspirować widzów do własnych poszukiwań

Rozmowa z Ryszardem Bugajskim, reżyserem filmu „Zaćma”



Ryszard Bugajski, fot.

materiały prasowe.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Od lat zajmuje się Pan tematyką stalinowską i rozliczeniem tamtych czasów. Czy ma Pan szczególny powód, który Pana inspiruje, czy np. ktoś z Pana bliskich przeżył horror stalinizmu?

Ryszard Bugajski: Nie, nikt z moich bliskich nie był prześladowany w czasach stalinowskich. Ale ja chodziłem już wtedy do szkoły, gdzie próbowano nas indoktrynować na wszelkie sposoby. A w domu, wieczorami, ojciec po kryjomu słuchał polskich audycji BBC, Głosu Ameryki i Wolnej Europy. Czytałem zachodnią literaturę, którą dostarczał mi ojciec i coraz bardziej podziwiałem zachodnią kulturę i cywilizację, a tą wschodnią, komunistyczną, która mnie otaczała, coraz bardziej pogardzałem. Mam otwartą, prawdomówną naturę, mówię głośno to, co myślę i to zaczęło przysparzać mi coraz więcej problemów. Im bardziej stawałem się krytyczny wobec władzy, tym bardziej stawałem się “czarną owcą”. Narastał we mnie bunt i potępienie komunizmu. Solidne, teoretyczne podstawy do krytyki obowiązującego oficjalnie marksizmu-leninizmu dały mi studia na wydziale filozofii Uniwersytetu Warszawskiego.

JSG: Patrząc na Pana filmy rozumiem, że nie zgadza się

Pan z „grubą kreską” i uważa Pan, że historia powinna być w taki czy inny sposób rozliczona, zanim zamknie się pewien rozdział. Czy tak jest?

RB: “Gruba kreska” to pewna polityczna technika, chwyt ułatwiający (pozornie) rządzenie w czasach przejściowych. Technika niestety bardzo krótkowzroczna, bo przyniosła ona w sumie więcej szkód w polskiej polityce i w mentalności społecznej, niż gdyby jej nie było. Gdyby jej nie było, okres transformacji, przekształcania komuny w demokrację, byłby może bardziej gwałtowny i początkowo bardziej bolesny. Ale po jakimś czasie skończyłby się i został zamknięty definitywnie. Tak jak np. w Niemczech. Tymczasem skutki “grubej kreski” w Polsce ciągną się do dzisiaj – coraz to ktoś z tych, którzy mają dostęp do dawnych archiwów, wyciąga jakąś “teczkę”, szantażuje nią przeciwników politycznych, koloryzuje fakty, czy wręcz kłamie dla osiągnięcia doraźnych celów. Tadeusz Mazowiecki, gorliwy rzecznik “grubej kreski”, był prawdziwym chrześcijaninem i wierzył, że zbrodniarzom należy wybaczać winy. Ja nie jestem chrześcijaninem i uważam, że zbrodnie powinny być karane – inaczej cały system sprawiedliwości zostaje postawiony na głowie.



Kadr z filmu „Zaćma” w reżyserii Ryszarda Bugajskiego, fot. Jacek Drygała.

JSG: Dlaczego pierwowzorem głównej bohaterki „Zaćmy” jest Julia Brystigerowa?

RB: Jej losy od dawna mnie interesowały. Wielu zbrodniarzy stalinowskich (i hitlerowskich) do końca życia wierzyło głęboko we wszystko, co robili w młodości. Usprawiedliwiali swoje czyny, bądź spychali winę na kogoś innego. Takich, którzy przyznali się do popełnienia błędów, do zbrodni, właściwie nie ma. A przynajmniej ja nie znam takich przypadków. Zastanawiało mnie, co zachodzi w umyśle osoby dobrze wykształconej (z doktoratem z filozofii), która zmienia swoją życiową filozofię, staje się autokrytyczna, potępia swoje dawne działania, pokutuje, umartwia się. Czy to następuje w formie olśnienia, jednorazowo, czy też jest to długi, powolny proces? Czy zmiana, transformacja jest pełna, czy też pozostają jakieś wątpliwości? „Zaćma” jest

próbą odpowiedzi na te pytania – jest próbą, ale NIE pełną odpowiedzią.

JSG: W filmie ważną rolę odgrywają osoby duchowne, w tym najważniejszy – prymas Stefan Wyszyński. Czy religia ma tu spełnić rolę duchowego czyścica?

RB: Jednym z głównych zadań Julii Brystigerowej jak Dyrektora Departamentu w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego była walka z Kościołem – nie tylko katolickim – oraz przekształcenie inteligencji polskiej w stado nieszkodliwych, potulnych, służebnych partii komunistycznej baranów. Religia interesowała Brystigerową od wczesnej młodości – tematem jej pracy doktorskiej na Uniwersytecie Lwowskim (napisanym w wieku 25 lat) była historia nuncjuszy papieskich w średniowiecznej Polsce. Gdy Brystigerowa zwraca się o duchową pomoc do prymasa Wyszyńskiego, chce w pewnym stopniu wymazać swe winy wobec Kościoła oraz wobec niego samego. Wówczas w Polsce nie było wśród kleru równych jej intelektualnie partnerów. Prócz niego nie miała z kim rozmawiać na odpowiednim poziomie. Niegdyś go potępiała, walczyła z nim, ale także podziwiała za konsekwencję, upór, odwagę. Zazdrościła mu spójnej, twardej, jak się wydawało, teoretycznej podstawy jego poglądów. Filmowa Brystigerowa odkrywa pewną niekonsekwencję Prymasa (to licencja poetica, wymyślona przeze mnie): czy Kościół chrześcijański powinien rzeczywiście potępiać

zbrodniarzy takich jak ona? Przecież Kościół głosi, że należy nadstawiać drugi policzek, że należy wybaczać winy winowajcom. Prymas jest rozdarty między potępieniem Brystigerowej-zbrodniarki i udzieleniem jej przebaczenia. Ich rozmowa tym samym nabiera dramatycznego wyrazu i staje się bardziej osobista.



Kadr z filmu „Zaćma” w reżyserii Ryszarda Bugajskiego, fot. Jacek Drygała.



Kadr z filmu „Zaćma” w reżyserii Ryszarda Bugajskiego, fot. Jacek Drygała.

JSG: Świat, który Pan kreuje na ekranie nie jest czarno-biały, lecz zbudowany z różnych odcieni szarości. Dobro może mieć ryse, a zło może mieć psychologiczne wytłumaczenie swojego istnienia. Czy można dojrzeć granicę pomiędzy tymi przeciwstawnymi pojęciami?

RB: Tak jak pokazuje metafora, której Pani używa – pomiędzy czernią i bielą są setki, o ile nie tysiące odcieni. Tak samo z ludzkimi charakterami – jedni są trochę bardziej moralni od innych, są ludzie na bakier z moralnością, ale istnieją też złodzieje, bandyci, mordercy. Czy są idealni, moralnie nieskazitelnie “biali” ludzie? Być może tak, ale dla filmu są na pewno mniej interesujący niż osobniki lekko skażone, przybrudzone, mające moralne dylematy. Filmy są przez to ciekawsze.

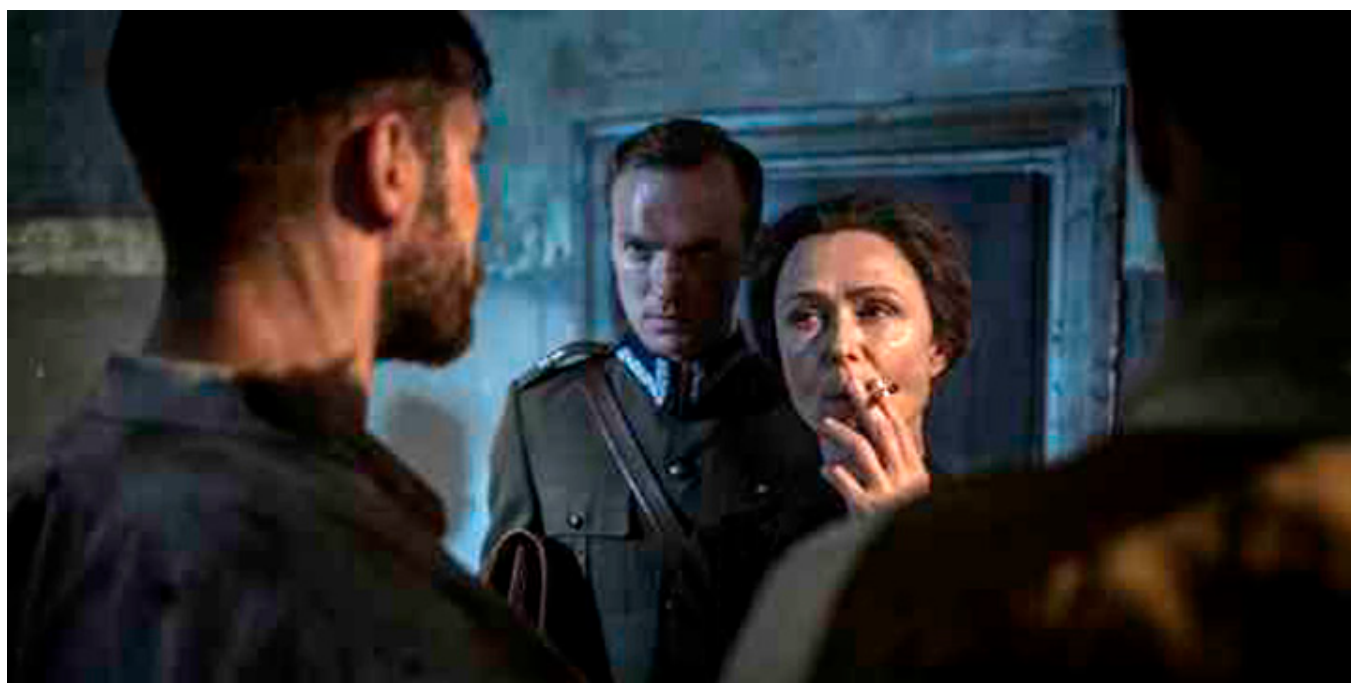
JSG: Czy Pana intencją było edukować widza czy pobudzić go do myślenia?

RB: Nikogo tym filmem nie chcę pouczać, ani narzucać komukolwiek swojej interpretacji. Chcę głównie uruchomić wyobraźnię odbiorcy, by widzowie sami zaczęli myśleć i zastanawiać się nad naturą dobra i zła. Chcę inspirować do własnych poszukiwań i przemyśleń. Film ten traktuję też jako poszukiwanie odpowiedzi na nurtujące mnie osobiście tematy – ubrane oczywiście w formę artystyczną, filmową.

JSG: Film miał premierę w listopadzie 2016 roku. Od tego czasu jest pokazywany na wielu festiwalach w Polsce i za granicą, otrzymał też wiele nagród. Jak odbiorcy zagraniczni, niewiele wiedzący o polskiej trudnej historii, odczytują ten film?

RB: „Zaćma” jest dużo lepiej przyjmowana za granicą niż w Polsce. W Polsce nie została zauważona na Festiwalu w Gdyni, nie została nawet nominowana do “Orłów”, mimo wybitnej – zdaniem moim i wielu krytyków – roli Marii Mamony. Większość komentarzy na Internecie (przeważnie anonimowe) ma polityczny podtekst: po co robić film o zbrodniarce stalinowskiej? Malo to mamy naszych Polskich bohaterów godnych upamiętnienia? Albo: znowu kolejny film o żydowskiej komunistce. Mało to mamy naszych, polskich... itd. Za granicą

inteligentni widzowie doszukują się psychologicznych motywacji bohaterów bez względu na to, czy ci są Żydami, Syryjczykami, czy Szwedami. Zagraniczni widzowie odczytują ten film uniwersalnie, bez kontekstów polityczno-nacjonalistycznych. Takie dokładnie były moje intencje jako twórcy tego filmu i dlatego lepiej rozmawia mi się o nim z widzami poza Polską.



Kadr z filmu „Zaćma” w reżyserii Ryszarda Bugajskiego, fot. Jacek Drygała.



Kadr z filmu „Zaćma” w reżyserii Ryszarda Bugajskiego, fot. Jacek Drygała.

Film „Zaćma” będzie można zobaczyć w Teksasie w ramach Austin Polish Film Festival. Więcej informacji można znaleźć na stronie:

<http://www.austinpolfilm.com/>

Miłosz w Wilnie oczekiwał cichego pobratymstwa



Marek Skwarnicki, fot. <http://bookhaven.stanford.edu>

Rozmowa Romualda Mieczkowskiego z Markiem Skwarnickim na temat przyjaźni z Czesławem Miłoszem

Romuald Mieczkowski: Niewiele osób może poszczycić się tak bliskimi kontaktami z największymi osobistościami współczesności. Pozostańmy w kręgu literatury, prosiłbym opowiedzieć o przyjaźni z Czesławem Miłoszem.

Marek Skwarnicki: Przyjaźń z Miłoszem, rozwijała się nie tak od razu, narastała latami, zwłaszcza w krakowskim okresie poety, obejmującym ostatnich dziesięć lat jego życia i polegała również na bliskości wileńskiej. Prawda, ja nie urodziłem się w Wilnie, tylko w Grodnie, ale jak wiadomo – „czym skorupka za młodu nasiąknie...” – ciągle odkrywałem i teraz odkrywam w sobie ową kresowość, ja się czuję w Wilnie, jak w swoim miejscu. Ta swojskość wyraźnie była w Miłoszu. Żonę mam z Wilna, tu urodzoną, repatriantkę. Jej rodzina do Polski wyjechała chyba w 1946 roku. Poznałem ją w Toruniu, myślę, że zbliżyła nas owa kresowość, ponieważ taka była tradycja naszych domów. Umownie mówię „kresowość”, mając na myśli historyczne rodowody naszych rodzin, nie tylko wileńskie. Czas, spędzony z Miłoszem, był dla nas poniekąd w sporej mierze przypomnieniem Wilna – ten gród tylko z pozoru był *miastem bez imienia*. Czytając te wiersze od razu człowiek wiedział, że chodzi w nich o Wilno. I chłonał ten klimat, który również z wielu jego wierszy płynie. I nie tylko z wierszy. Poddawałem się urokowi miłoszowskich wypraw w staropolskość, które on robił z wielkim

porywem i sentymentalnością. Spotykam ją tutaj i teraz, podczas pobytu na Litwie, słuchając chociażby w czasie wycieczki do Szetejń chóru starszych pań z Kiejdan. Tak śpiewała moja teściowa, tak grała na gitarze, jak jedna z tych pań. Spotkałem się więc ze zjawiskiem cofniętym kulturowo o ileś tam lat. I to jest ta pielęgnacja tradycji, jakie nie zachowały się już gdzie indziej. Ta rzewność urzeka nadal. Podobna rzewność była w twórczości Miłosza.

RM: Są tego przykłady. W rozmowach z Noblistą obecna więc była Litwa...

MS: I to w dużym stopniu. I przede wszystkim Wilno. Żona, jak pierwszy raz pojechała na Litwę i była w Szetejniach, to po wyjściu z autobusu zerwała z pobliskiego pola pęk kłosów żyta. Po powrocie do Krakowa wręczyła je Miłoszowi. I te kłosy potem u poety wisiały na ścianie, jako drogi symbol tych stron.

RM: Jak Czesław Miłosz oceniał po latach swoją ojczyznę?

MS: To był stosunek skomplikowany. Dlaczego, zrozumiałem to dopiero po rozmowach w Wilnie. Zrozumiałem, dlaczego Miłosz po pobycie w Wilnie był czymś zrażony. Nie śmiałem wtedy pytać, czym. Wiedziałem jednak, że coś go boli. Myślę, że poeta spodziewał się innego stosunku Litwinów do Polaków. Kiedy tu przybył, znany i pełen chwały, jemu wcale nie był potrzebny ten

wielki entuzjazm, z jakim go witano, jemu potrzebne było ciche pobratymstwo Litwinów i Polaków.

RM: Czy o tym mówił?

MS: Unikał tego tematu, ale w jakichś postaciach on ciągle powracał. To był jego wielki dramat życiowy – czterdzieści lat przecież Miłosz żył w Ameryce, był – tak rzecz można – człowiekiem świata, kultury uniwersalnej. Co by nie powiedzieć, Kraków jest pewną prowincją w stosunku do wielkich metropolii kulturalnych świata, w których bywał Miłosz i w których był honorowany, bo poza Noblem miał wiele innych nagród. Co napisał wiersz, to „New Yorker” mu drukował, swoje zrobił pobyt we Francji i współpraca z przedstawicielami tamtejszych kręgów kultury. To wszystko stawiało go w czołówce. Ale on jednak – co jest najistotniejsze – pozostawał bardzo prostolinijny, był „kresowo prosty” i oczekiwał, że do niego na Litwie równie z tą prostotą będą się odnosić. Tymczasem większość spotkań odbywało się na wysokim, oficjalnym poziomie państwowym, oczekiwano od Noblisty deklaracji politycznych. I dlatego czuł się urażony, bo on się wcale nie wywyższał.

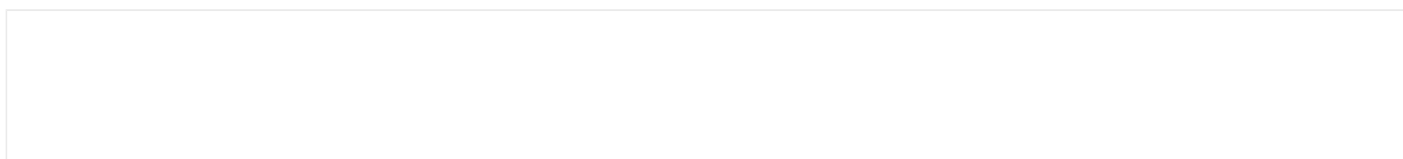


Wilno, fot. pinterest

RM: A jakie refleksje nasuwają się Skwarnickim przy tym pobycie w mieście nad Wilią?

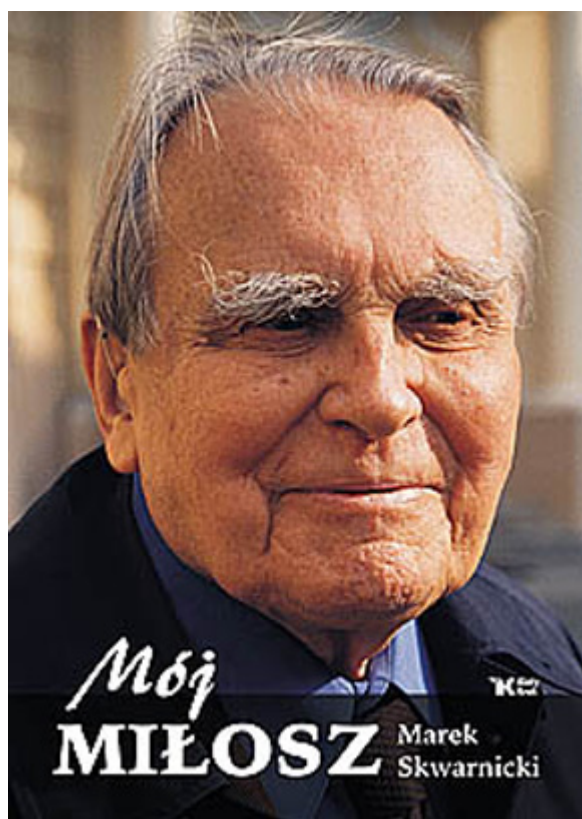
MS: W tej ocenie są różnice pomiędzy żoną i mną. Pierwsze, co zrobiła ona, to pojechała na Antokol, by zobaczyć miejsce, w którym się urodziła. Przystanęliśmy przed Filharmonią, gdzie wtedy mieściło się jej gimnazjum. Ja natomiast byłem w Wilnie dwa razy, pierwszy raz krótko, bo to była jednodniowa wycieczka. Tak naprawdę to nie był ten pierwszy raz, bo mnie, jako cztero- pięcioletnie dziecko, mama przywoziła z Grodna,

kiedy tu przyjeżdżała po modne ciuchy. Należała do oficerskiej rodziny, nie była to specjalnie majątna szlachta. I ja pamiętam tamte wyprawy. Ale dopiero podczas przyjazdu na „Maj nad Wilią” poczułem, czym jest Wilno. Zachwyca jego piękno architektoniczne, z unikalną pozostałością dawnych wieków, harmonię pomieszaną z nowymi zabudowaniami. Pobyt w Wilnie, które przecież we mnie istniało również jakoś poetycko, uświadamia pewną spójność pomiędzy naszymi narodami, może dlatego, że jesteśmy razem w Unii, że przed nami roztaczają się nowe możliwości. Trochę mnie razi jednak zamknięcie się Litwinów – ja się po świecie nieco nawłóczyłem, ale rzadko kiedy byłem tak odcięty kontaktowo, otóż trafiłem do dziwnego świata, w którym istnieje kultura europejska – choćby poprzez obecność gotyku, renesansu, baroku i innych stylów, a jednocześnie – taka zamknięta w sobie enklawa. Zdaję sobie sprawę, że Litwa jest malutka i chce zachować swą odrębność, ale większe otwarcie się wobec przybyszy z Polski na pewno by jej nie zaszkodziło. To nie powinno być źródłem żadnych kompleksów. Wielokulturowa spuścizna to majątek w kontekście coraz bardziej powszechnej kultury masowej Europy, zaś spotkanie terenów z tak pielęgnowaną własną tożsamością i odrębnością bywa wielkim przeżyciem.



Marek Skwarnicki opisał historię swojej przyjaźni z Czesławem Miłoszem w książce „Mój Miłosz”, wyd. Biały Kruk, Kraków 2004 r.

O książce od wydawcy:



Wspomnienia doprowadzone do ostatnich dni życia Noblisty. Z listów i rozmów, które obejmują niemal pół wieku, wyłania się Miłosz znacznie ciekawszy niż z bardziej lub mniej przychylnych opracowań i biogramów. Korespondencja i osobiste spotkania mówią o nim być może coś więcej nawet niż spuścizna literacka; są kluczem do kolejnych drzwi, za którymi staje

prawdziwsza postać Czesława Miłosza. Marek Skwarnicki – znakomity pisarz i tłumacz z kręgów katolickich, w okresie komunistycznym będących enklawą wolności – od ponad pół wieku przyjaźnił się z Czesławem Miłoszem. Jego wspomnienia ukazują całą epokę, w której zapisali się bohaterowie tej książki. Obszernie cytowana korespondencja Miłosza ujawnia wiele jego osobistych sympatii (lub antypatii) oraz rozterki duchowe

wielkiego artysty. Marek Skwarnicki towarzyszył mu także w ostatnim czasie, gdy zmagał się on ze śmiertelną chorobą. Wielkim walorem książki są dokumentalne, nieznane fotografie (ponad 60!) m.in. brata Noblisty, Andrzeja oraz Adama Bujaka.

Zdaniem prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Aleksandra Fiuta książka Marka Skwarnickiego to „książka wyjątkowa, stanowiąca zapis przyjaźni starego poety z młodym poetą”.

„Ten *Mój Miłosz* powstał z mojego przywiązania do niego, które było wcześniejsze niż poznanie osobiste” – powiedział Marek Skwarnicki, opowiadając o swojej wczesnej fascynacji wierszami Czesława Miłosza z tomu „Ocalenie”. Jak podkreślił, fascynacja ta miała wsparcie w jego przekonaniu o podobieństwie doświadczeń.

Kolejnym etapem znajomości było związanie się Marka Skwarnickiego z „Tygodnikiem Powszechnym”, co sprawiło, że Czesław Miłosz zaczął czytać jego teksty. Dopiero znacznie później, po wymianie listów, doszło do osobistego spotkania obu twórców.

Jak przyznał autor, bezpośrednim impulsem do napisania książki był fakt, że natknął się na informację w Internecie, że jego listy do Miłosza sam poeta zdeponował w archiwum na uniwersytecie w Yale.

„Kiedy po ukończeniu książki spytałem go (Miłosza), jak by określił jej charakter, powiedział: *To jest opowieść o przyjaźni w trudnych czasach starego pisarza z młodszym*” (Marek Skwarnicki w pierwszym rozdziale swojej książki).

Marek Skwarnicki zmarł w Krakowie w 2013 roku.

Piękno, poezja i sztuka w dobie cywilizacji obrazkowej

**Rozmowa z księdzem profesorem i poetą Januszem
Ihnatowiczem**



Ksiądz prof. Janusz A. Ihnatowicz, fot. Jacek Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Proszę księdza, pisze ksiądz już od wielu lat łącząc działalność duszpasterską z twórczością poetycką. Czy księdza poezja ma w jakimś stopniu dotrzeć do konkretnego czytelnika i spełnić rolę katechezy?

Janusz Ihnatowicz: Na pewno odbiorca jest potrzebny, bo pisze się po to, żeby ktoś przeczytał. Ale w momencie pisania nie myślę o nim. Nie mam też na uwadze celów dydaktycznych, ani jakichkolwiek innych.

JSG: W księdza przypadku poezja więc nie ma związku ze stanem kapłańskim, twórczość idzie niezależnym torem?

JI: Nie wierzę w kapłaństwo poezji, jak to niektórzy nazywają. Przede wszystkim poezja jest na niższym poziomie. Pisanie wierszy to trochę tak, jak bycie kucharką. Piszę się po to, by sprawić ludziom przyjemność.

JSG: Czy wobec tego pierwszoplanową funkcją sztuki jest dla księdza funkcja estetyczna?

JI: Tomasz z Akwinu powtórzył za Grekami definicję piękna – *pięknymi nazywamy rzeczy, które podobają się, gdy się je ogląda (Summa teologiczna)*. Jeśli sztuka mi nie sprawia przyjemności i muszę się męczyć przy odbiorze, to może zawierać dobrą informację i pokłady głębokiego myślenia, ale dla mnie nie jest dziełem. Oczywiście nie oznacza to, że rzecz ma być łatwa. Np. niektóre utwory Eliota są trudne, ale już pierwsze czytanie sprawia zadowolenie.

JSG: Wspomniał ksiądz Eliota. Jakich poetów wymieniłby ksiądz jako swoich mistrzów poetyckich?

JI: Mistrzów mamy różnych w różnych okresach życia. Gdy byłem młody miałem ograniczony dostęp do polskiej literatury. W wieku 17-18 lat moja znajomość literatury pochodziła jedynie z antologii. W Anglii nie mieliśmy tekstów, podręczników. W latach 40. młodzi ulegali modzie, wyśmiewali Słowackiego, a czytali Norwida. Potem przyszedł czas Gałczyńskiego. Próbowaliśmy go

naśladować. Z angielskich pisarzy na pewno cenię T.S. Eliota czy Dylana Thomasa. Ale nie wiem czy ich można nazwać mistrzami. Podpatruje się różne ich sztuczki. Na tym rzecz polega.

JSG: Czy ksiądz się utożsamia z grupą poetycką „Kontynenty”, powstałą w powojennym Londynie?

JI: Mój związek z „Kontynentami” jest trochę przypadkowy. Na pewno wiekowo pasowałem do tej grupy, bo wszyscy kończyliśmy uniwersytety w tym samym czasie. Wokół „Kontynentów” tworzy się teraz mistyczna aura. Tak na prawdę wszyscy młodzi tam pisali, bo to było jedyne pismo, w którym mogli drukować. Dostać się do „Wiadomości” nie było tak łatwo. Ja dostałem się tam dopiero w latach 50., a przez parę lat, do 1958 roku drukowałem w „Kontynentach”. Potem wyjechałem do Ameryki i kontakt się urwał. Poszliśmy swoimi drogami.

Podejrzewam, że te masowo powstające utwory nie były wiele warte. Mieczysław Grydzewski wykazał się zmysłem krytycznym, skoro nie wszystko chciał drukować. Takich ludzi, którzy chcieliby być poetami zawsze jest bardzo dużo. Wtedy do Anglii różnymi drogami trafiła duża grupa Polaków. Ponieważ na emigracji nie było normalnych warunków, szkolnych pisemek itd., gdzie można było się „wypisać”, to taką rolę spełniał „Merkuriusz” czy „Kontynenty”. A dlaczego pisano po polsku, a nie po angielsku, to każdy miał na ten temat inną odpowiedź.

JSG: Jak to się stało, że pod koniec lat 50. zdecydował się ksiądz wrócić do Polski?

JI: Namówił mnie m.in. biskup Kaczmarek. Ściągnął mnie ze Stanów i Zygmunta Pioniera z Francji. Wszystkim się wydawało, że Władysław Gomułka otworzy drzwi dla Kościoła i będzie można coś dobrego w Polsce zrobić. Teraz wiemy, że 1956 roku Gomułka lawirował, żeby się dostać do władzy, a potem, w 1958 wycofał obietnice i wszystko wróciło do starej normy. Tak więc ani Pionier, ani ja nie dokonaliśmy niczego specjalnego.

Skończyłem w Polsce Seminarium Duchowne w Kielcach, przez rok byłem na Akademii Teologicznej w Warszawie, a potem, w 1966 roku udało mi się wyjechać na studia do Kanady i już zostałem.



Kaplica przy Uniwersytecie
Św. Tomasza w Houston, fot.
pinterest.

JSG: Po takim wyjeździe pewnie miał ksiądz kłopoty z przyjazdem do Polski. Kiedy udało się księdzu ponownie przyjechać do kraju?

JI: Po raz pierwszy dostałem wizę dopiero w 1981 roku, gdy

powstała „Solidarność”. Miałem przyjechać do Kielc na rok akademicki 81/82, aby wyklądać w seminarium. No, ale stan wojenny temu przeszkodził, bo anulowano wszystkie wizy. Następną wizę dostałem w 1987 roku. Wtedy byłem w Polsce przez 6 miesięcy i wykladałem w Kielcach. I od tego czasu praktycznie co roku jeżdżę do Polski.

JSG: Jak ksiądz wspomina swoje pierwsze tomiki wierszy?

Jl: Pierwszy został przyjęty do druku przez PIW w 1958 roku, ale nigdy się nie ukazał, bo zdjęła go cenzura. Wydał go dopiero „Znak” w 1971 roku pt. „Wiersze wybrane”. W międzyczasie w Londynie u Bednarczyków w „Oficynie poetów i malarzy” wyszedł kolejny, drugi tomik. Trzeci ukazał się na początku lat 90. w Warszawie, wydany przez wydawnictwo „Lumen”, które już nie istnieje. Wydawnictwo padło, właściciel zmarł i nikt nie wie, co się stało z książkami, które nie zostały rozprowadzone. W tym czasie wyszedł angielski tomik.

JSG: Księdza wiersze są też w różnych antologiach.

Jl: Tak, w wielu, sam nie wiem za bardzo w jakich. Na pewno w antologiach „Kontynentowców”. W antologii poezji emigracyjnej, która wyszła w Polsce, cenzura nie puściła moich wierszy. Natomiast w antologii „Ryby na piasku” wydanej w Londynie znalazło się kilka moich tekstów. Karl Dedecjusz umieścił mnie w

swoich antologiach - „Lektion der Stille” i w kilkutomowym wydawnictwie. Dedecjusz robił dobre tłumaczenia. Muszę przyznać, że jeden mój wiersz w wersji niemieckiej jest lepszy od oryginału.

JSG: Co ksiądz sądzi o obecnej poezji emigracyjnej?

JI: Trudno mi coś sądzić, bo bardzo mało wiem na ten temat. To, co czytam nudzi mnie w sposób nieludzki. Pewnie jestem uprzedzony. Kiedyś jeden z angielskich poetów powiedział: są dwa rodzaje ludzi, ci którzy czytają wiersze i ci którzy je piszą. Więc ja stosunkowo niedużo wierszy czytam. To, co do mnie dociera w pismach emigracyjnych, polskich czy angielskich, albo jest niezrozumiałe i nie wiadomo o co chodzi, albo jest to proza dziennikarska pisana wierszem. Ale, jak mówiłem, jestem uprzedzony, bo jak nie ma rymu, to mi się nie podoba.

JSG: Jaki według księdza wpływ na odbiór piękna mają nowe środki komunikacji? Czy człowiek może zatracić naturalną wrażliwość poprzez ciągły kontakt z komputerową iluzją, oglądając np. dzieło malarskiej sztuki na ekranie, a nie w muzeum?

JI: Między obrazem w muzeum, a na ekranie w gruncie rzeczy nie widzę wielkiej różnicy. Chociaż puryści twierdzą, że jest. Moi koledzy z Wydziału Sztuk Pięknych pewnie ukamienowaliby mnie

za tę herezję. Mnie się wydaje, że problem z mediami polega na czymś innym. Jak to powiedział Marshall McLuhan, przekaz staje się tym, co się przekazuje (*The medium is the message*). Właściwie należałoby zapytać, co jest przekazywane.

JSG: Jakie widzi ksiądz oddziaływanie rewolucji informatycznej, która się odbywa na naszych oczach, na współczesnego człowieka?

JI: Wpływ komputerów na człowieka jest duży. Ludzie zaczynają żyć w odosobnieniu kosztem kontaktów międzyludzkich. Widać to zwłaszcza u młodzieży, która nie jest w stanie niczego robić wspólnie, siedząc godzinami każdy przy swoim ekranie. Przy tym ogromnym tempie zmian, zetraca się zmysł kontemplacji. W jakimś sensie jest to zubożenie kultury. Kultura jest przecież czymś więcej niż błyskaniem obrazków.

JSG: Świat, w którym żyjemy stał się produkowanymi gotowymi substytutami kultury. Ekran monitora i wirtualna rzeczywistość zastępują obcowanie z drugim człowiekiem, a przetworzony i uproszczony obraz zastępuje słowo.

JI: Cywilizacja obrazkowa, której jesteśmy świadkami, uniemożliwia ludziom myślenie. Zauważyłem to zjawisko wśród studentów, oni myślą pod wpływem telewizji, obrazek za

obrazkiem. Ale związku pomiędzy obrazkami nie widzą. Im jest bardzo trudno czytać tekst, który prowadzi jakiś argument. Oni się w tym gubią. Pisać też nie potrafią. To jest konsekwencja myślenia obrazkami, a nie pojęciami. Obrazkami można dużo uzyskać, ale pojęcia są konieczne i nie mogą być zastąpione. Poza tym cywilizacja obrazkowa likwiduje wyobraźnię. Kiedy dzieciom się coś opowiada, one muszą sobie to wyobrazić. Gdy się dzieciom tylko pokazuje obrazki, nawet najlepsze, ale już gotowe, dziecko jest kształtowane na odbiorcze, a nie twórcze.



Wnętrze kaplicy przy Uniwersytecie Św. Tomasza w Houston, fot. pinterest.

JSG: Podczas pracy na Uniwersytecie Łódzkim, na zajęciach z Analizy Dzieła Literackiego, wiele razy próbowałam wytłumaczyć studentom, że nawet najlepsza filmowa adaptacja dzieła literackiego nigdy go nie zastąpi. Obraz to nie to samo, co literatura. Przyszli humaniści jednak argumentowali, że na czytanie lektur nie mają czasu.

JI: Oczywiście, aby przenieść książkę na ekran, należy tekst bardzo uprościć. Np. „Wojna i pokój” Lwa Tołstoja. Rosjanie zrobili chyba najlepszą adaptację, która trwała jednak 20 godzin.

W latach 60. jedna z polskich aktorek zaproponowała mi przerobienie „Anny Kareniny” dla potrzeb teatralnych. Miał to być spektakl dwóch osób. Zacząłem próbować. Wiadomo, że przedstawienie może trwać dwie godziny, nie więcej. Co tu więc ściąć? W końcu doszliśmy do wniosku, że takiej teatralnej adaptacji nie da się zrobić. Jeżeli tekst zetnie się do dwóch godzin, zostanie z niego romans. Ona – żona zdradza męża, a później kochanek wrzuca ją pod pociąg. Medium obrazkowe ma zupełnie inny charakter i inne możliwości, nie może więc zastąpić książki. Czasowo nie jest się w stanie wszystkiego pokazać. Choć niektóre rzeczy można oddać dobrym aktorstwem. Jednym spojrzeniem, czy wyrazem twarzy aktor może pokazać dwie strony tekstu. W latach 50. w Toronto widziałem sztukę, graną przez sławną parę aktorską pt. „Schreck”. Schreck to gatunek ptaka, którego samica zżera samca. W sztuce mąż próbuje uwolnić się od żony i próbuje popełnić samobójstwo. Ostatecznie zostaje oddany przez psychiatrów pod kontrolę żony, która od tej pory staje się jego prawnym opiekunem. On to wszystko słyszy. Jest w sztuce taki moment, w którym On, odwrócony tyłem do publiczności, plecami pokazuje swoją tragedię.

Z polskich ekranizacji bardzo dobry jest, według mnie, „Pan Tadeusz”. Wszystkie opisy zostały zamienione na obraz, dialogi są wierszowane. Właściwie „Pan Tadeusz” został nienaruszony.

JSG: W jakim stopniu w cywilizacji obrazkowej zatracamy granicę pomiędzy rzeczywistością, a iluzją?

JI: Najbardziej podatne na utratę poczucia rzeczywistości są dzieci i młodzież. Badania psychologiczne wykazały, że ostatnio zastraszająco częste zbrodnie dzieci, w dużej części wynikają z wpływu mediów. Ktoś kogoś zastrzelił, on się przewraca, a w następnym tygodniu znów jest na ekranie. Dzieci i młodzież coraz bardziej żyją w świecie ułudy.

JSG: Co wobec tego należałoby zrobić, żeby nie poddać się wielkim korporacjom, które dla sukcesu finansowego, narzucają nam taką, a nie inną wizję świata?

JI: Praktycznie jest tylko jedno wyjście, żeby mieć kontrolę nad tym, co wchodzi do naszej wyobraźni – wyłączyć telewizor. Nikt mnie nie może zmusić, żebym patrzył. Ludzie powinni być świadomi, co się dzieje z naszymi umysłami pod wpływem telewizji i powinni starać się to kontrolować. Ale ludzie potrzebują przyjemności intelektualnej i emocjonalnej. Jeżeli sztuka im tego nie daje, będą zadowalać się namiastkami. Artyści muszą się obudzić i produkować coś, co będzie dla ludzi

pożywką, wtedy prawdopodobnie następne pokolenie zacznie wracać do sztuki.

JSG: W takim razie wyjątkowe zadanie ma we współczesnym świecie literatura i literaci.

JI: Nasz problem nie polega na tym, że się dobrze nie pisze, ale że nikt nie czyta. Społeczeństwo wychowane na obrazkach, nie jest w stanie przyjmować tekstu pisanego. Wyobraźnia już nie działa. Drugi problem polega na tym, że pisarze nie chcą pisać dla ludzi. Piszą dla siebie i nie są zainteresowani odbiorcą, a nawet pogardzają nim. Uważają, że są lepsi od innych. To jest też właściwość innych artystów, nie tylko pisarzy. Jeśli nie podoba ci się mój obraz, to znaczy, że jesteś Filistyn, bo to jest bardzo głębokie. Jeśli pisarze nie chcą pisać, po to, żeby ich czytano, to nie będą czytani. Stosunkowo mało jest książek, pisanych tak jak pisał Sienkiewicz: ku pokrzepieniu serc. A ludzie chcą mieć pokrzepione serca i szukają takich rzeczy. Dlatego, gdy się znajdzie literat, który pisze dla ludzi, to wszyscy go czytają. Takim przykładem jest ksiądz Twardowski. On po prostu do nich mówi.

JSG: Jaką rolę przyjmuje na siebie Kościół w kreowaniu i popieraniu kultury w dobie cywilizacji obrazkowej?

JI: Kościół ma stosunkowo małe możliwości w dziedzinie kultury.

Może popierać pewnych artystów, może być mecenasem sztuki i literatury. Ale co Kościół może promować? W stosunku do sztuki, która przedstawia wizję świata całkowicie przeciwną chrześcijańskiej wizji, Kościół nie ma nic do roboty. Trudno wymagać, że Kościół popierał Andy Warhol'a. Artysta często nie chce zrozumieć, że jego twórczość nie musi być zaakceptowana. Z drugiej strony kler nie zawsze jest wykształcony w tej dziedzinie. Więc często woli kicz od prawdziwej sztuki. Kościół wprawdzie stara się kształcić kler w dziedzinie estetycznej, ale nie buduje muzeum.

JSG: Bardzo dziękuję księdzu profesorowi za rozmowę. Miejmy nadzieję, że *każdy w sobie cień pięknego nosi*, jak pisał Norwid i że w dobie cywilizacji obrazkowej nie zatracimy swojego człowieczeństwa oraz wszelkich wartości.

Ks. prof. Janusz A. Ihnatowicz urodził się w Wilnie 26. VII. 1929 roku. Dzieciństwo spędził w Częstochowie, dokąd rodzice przenieśli się w 1935 roku. Tam też wraz z siostrą Irmą i matką Zofią z Szymanowskich spędził lata wojny. Ojciec Stanisław, zawodowy oficer w wojsku polskim, walczył w kampanii wrześniowej. Następnie przez Francję przedostał się do Anglii. W 1946 roku reszta rodziny do niego dołączyła. Janusz Ihnatowicz zarówno szkołę średnią, jak i studia filozoficzne i psychologiczne

ukończył w Dublinie. W 1951 roku wyjechał do Kanady. Wrócił do Polski w 1958 roku, wstąpił do Seminarium Duchownego w Kielcach i do Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. W 1962 roku otrzymał święcenia kapłańskie. W 1966 roku znów znalazł się w Toronto. Doktoryzował się w Instytucie Duchowości w Rzymie. Od 1969 roku wykładał teologię i patrystykę na bazylikańskim Uniwersytecie Św. Tomasza w Houston (*University of Saint Thomas*). W 1997 roku przeszedł na emeryturę. Jako *professor emeritus* ciągle ma kontakt z uczelnią.

Poeta, krytyk literacki i tłumacz. Debiutował jako poeta w 1954 r. w pismach londyńskich wierszami opublikowanymi w miesięczniku „Życie Akademickie”, prozę publikował w tygodniku „Życie”. Literacko związany był z grupą poetycką *Kontynenty* skupioną wokół pisma „Kontynenty-Nowy Mercuriusz”. Autor przekładów „Psalmów” z hebrajskiego. Wydał tomiki poezji: „Pejzaż z postaciami” (Londyn 1972) i „Wiersze wybrane” (Kraków, Znak 1973). Tom wierszy w języku angielskim „Displeasure” ukazał się w Londynie w 1975 roku. Był m.in. korektorem literackim pierwszego wydania Biblii Tysiąclecia (1965). Tłumaczył na język polski poetów angielskich i amerykańskich (Walt Whitman, Ezra Pound), przełożył też na angielski sztukę Jerzego Zawieyskiego *Sokrates*. Drukował w „Tygodniku Powszechnym”, „Więzi”, „Znaku”, „Kulturze”, „Wiadomościach”, „Oficynie Poetów i Malarzy”.

W 1973 roku otrzymał nagrodę Fundacji Kościelskich. W 2011 roku został uhonorowany nagrodą Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie za całokształt twórczości. W 1997 r. otrzymał papieski krzyż *Pro Ecclesia et Pontifice*.

Jest członkiem Instytutu Naukowego w Ameryce z siedzibą w Nowym Jorku, Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z siedzibą w Londynie oraz polskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

(na podstawie Wikipedii).

Trwać przy zasadach

Rok 2017 jest rokiem Josepha Conrada (1857-1924), gdyż w tym roku przypada 160 rocznica urodzin pisarza. Z tej okazji przypominamy rozmowę prof. Floriana Śmieji z prof. Zdzisławem Najderem na temat twórczości Józefa Korzeniowskiego (Josepha Conrada) oraz zdewaluowaniu pojęć honoru i wierności.



Prof. Zdzisław Najder, fot. Fakt/Forum, Darek Iwański.

Prof. Zdzisław Najder to polski historyk literatury, wykładowca, specjalista od twórczości Józefa Konrada Korzeniowskiego. Był także przez wiele lat dyrektorem polskiej sekcji Radia Wolna Europa oraz doradcą w rządzie Lecha Wałęsy i Jana Olszewskiego. Wywiad z prof. Florianem Śmieją ukazał się po publikacji książki prof. Zdzisława Najdera „Sztuka i wierność. Szkice o twórczości Josepha Conrada” w 2000 roku. Prof. Zdzisław Najder był wówczas wykładowcą w Wyższej Szkole Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie. Mimo, że wywiad miał miejsce kilkanaście lat temu, niewiele się zdezaktualizował. Twórczość Josepha Conrada jest wciąż jak najbardziej współczesna, a problemy miejsca Polski w strukturach Unii Europejskiej, jak najbardziej aktualne.

Florian Śmieja: Z okazji ukazania się w Polsce Twoich szkiców o twórczości J. Conrada pt. „Sztuka i wierność” pozwól, że zadam ci kilka pytań. Piszesz, że Conrad był pisarzem anachronicznym, nie należącym do swojego czasu i że jego korzenie tkwiły w tradycji.

Zdzisław Najder: Tak, w sposobie widzenia problemów moralności i ludzkiej wspólnoty był związany z polską kulturą szlachecko-inteligencką – a to już był w ówczesnej Anglii anachronizm. Jego wzory literackie – to książki Flauberta i Maupassanta, wydane ponad ćwierć wieku przed debiutem powieściowym Conrada. Ale równocześnie, i na tym zasadza się jego wielkość, stawianymi pytaniami i artystycznymi eksperymentami wybiegał w przyszłość. Wystarczy wspomnieć „Jądro ciemności”, napisane w wieku XIX i czytane z przejęciem w XXI jak utwór niemal współczesny.

FS: Przecież jego powieści polityczne także nie straciły na aktualności.

ZN: Właśnie, pytania o przyszłość Rosji, rozdieranej między autokrację a anarchię, postawione przez Conrada

dziewięćdziesiąt lat temu, pozostają nadal otwarte. Ale to już wielokrotnie zauważono. Uderza mnie natomiast, że Conrad pisał – w roku 1905 w szkicu „Autokracja i wojna”, i w innych pismach politycznych, o Europie w taki sposób, jakby przeczuwał i sugerował całkiem nam współczesne wysiłki integracyjne na naszym kontynencie. Widział w nich jedyny sposób na uniknięcie niszczących konfliktów. Był wielkim pisarzem europejskim, może pierwszym i najznakomitszym – w sensie przynależenia do trzech europejskich kultur, polskiej, francuskiej i angielskiej, i w sensie wyjątkowej świadomości bogactwa i różnorodności kultur narodowych, i w sensie podejmowania typowo europejskiej problematyki. Przyjrzałem się temu bliżej, kiedy przygotowywałem do druku polski przekład wykładu o „Europie Conrada”, wygłoszonego jakiś czas temu w Londynie.



Józef Teodor Konrad Korzeniowski, fot. pinterest.

FS: Czyżby to zbieżność z twoją własną działalnością jako doradcy rządowego?

ZN: Masz rację. Uświadamiam sobie, jakie to są szczególne

sploty. Zacząłem się zajmować Conradem pół wieku temu – na znak protestu politycznego, bo to był dla mnie pisarz pokolenia Akowskiego, pisarz wierności, którą komuniści wyszydali. A w ciągu wielu lat od ogłoszenia (w podziemiu) pierwszego polskiego tekstu, postulującego wejście niepodległej Polski do Wspólnot Europejskich, zajmuję się praktycznie wypełnianiem politycznej wizji Conrada... Dzisiaj jestem przekonany, że nie ma dla nas ważniejszego zadania, niż integracja z Unią Europejską. Europa nie stoi w miejscu: ta na zachód od nas tworzy nowe struktury, podejmuje nowe wyzwania – i powinniśmy być ich uczestnikami, aby mieć wpływ na to, co się dzieje na kontynencie; ta na wschód też się zmienia, wcale nie na naszą korzyść – więc powinniśmy się zabezpieczyć.

FS: Nie jesteś zatem profesorem, który siedzi w swoim gabinecie?

ZN: Ależ siedzę, siedzę – też. W tej chwili mam przed sobą siedem prac magisterskich do oceny; pięć dojrzeje we wrześniu. Z tej dwunastki moich studentów, piszących prace na temat literatury amerykańskiej i angielskiej, aż troje chce się doktoryzować. A mam już i tak trójkę doktorantów. Masz jednak rację, mnóstwo – może jeszcze więcej – czasu zabierają zajęcia tzw. publiczne. Tak już jest od ćwierć wieku, kiedy w maju 1976 r. ogłosiliśmy w konspiracji program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, a po tym jeszcze czterdzieści dziewięć

kolejnych publikacji. M. in. tłumaczyliśmy, że nie ma niepodległej Polski bez zjednoczonych Niemiec i *vice versa*. Jakoś wtedy (1978) nikt nie wierzył. Po tym była Wolna Europa i przymusowa emigracja, a po powrocie Komitet Obywatelski, doradzanie prezydentowi Wałęsie (bezskuteczne) i premierom (czasem się udawało, jak z uznaniem niepodległej Ukrainy w 1991 r.). Jeszcze Klub Atlantycki, też w 1991 – zakładałem pierwszą grupę nacisku za wejściem do NATO. To jednak wcale nie wystarcza, teraz trzeba do Unii Europejskiej. Zająć mi nie brak. Na szczęście moja żona niby narzeka, ale cały czas pomaga.



Muzeum Josepha Conrada w Berdyczowie, w odbudowanym budynku klasztoru Karmelitów Bosych, fot. Adam Orlewicz.



Muzeum Josepha Conrada w Berdyczowie, w odbudowanym budynku klasztoru Karmelitów Bosych, fot. Adam Orlewicz.

FS: Czy tak dla Ciebie ważnych pojęć honoru i wierności nie zdewaluowały niedawne czasy i nieludzkie doświadczenia ostatnich pokoleń?

ZN: Te pojęcia istotnie są przez wielu współczesnych uważane za anachroniczne. Warszawska „Więź” wydała jakiś czas temu specjalny numer o „Zagubionej cnocie honoru”. Nie łączę jednak wcale tego kryzysu wartości z okrucieństwami wojny i stalinowskiego terroru. Wręcz przeciwnie: kryzys wywołany jest przez życie z mniejszymi wymaganiami, przez modne hasła skuteczności, pogoń za powodzeniem i zyskiem, jednym słowem przez tryumfy moralnego pragmatyzmu. Nasze czasy nie lubią moralnej twardości, lubią miękkość, telewizyjny wdzięk, umiejętność reklamy. Myślę jednak, na podstawie znajomości współczesnej publicystyki polskiej, że zatrać tych wariackich wartości nie przechodzi bez żalu, bez poczucia straty. Stąd wielki autorytet Zbigniewa Herberta. Jego „Przesłanie Pana Cogito” jest tragicznym apelem – w imieniu honoru i wierności. Do

wierności odwołuje się też jego szkic „Duszyczka” w tomie „Labirynt nad morzem”.

FS: Wiem, że Tobie został dedykowany, z czego jesteś dumny. Lecz czy to aby nie jest wołanie na puszczy.

ZN: Nie jestem optymistą, ale też nie mam zamiaru się poddawać. Kiedy mnie wyciągają na wspomnienia o Zbyszku Herbercie, pada zwykle pytanie: na co wyście liczyli w roku 1951, odmawiając kolaboracji z komuną. Otóż nie liczyliśmy na nic. Ta etyka, o której mówisz, etyka wierności i honoru, nie odwołuje się do skuteczności i nagrody.

FS: Nie sądzisz chyba, że taką etykę mogłyby przyjąć nowe elity „z ich odwiecznymi lękami oportunistów”, jak się wyraził Zygmunt Kubiak?

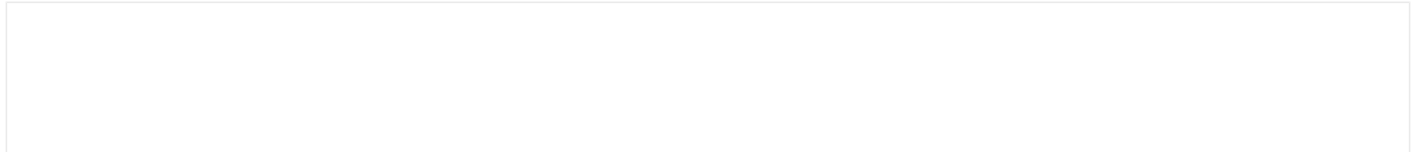
ZN: Myślę, że głęboką przyczyną tego kryzysu, tej nawet zapaści moralno-ideowo-kulturowej, jaką widać w dzisiejszej Polsce, jest słabość, a często wręcz kapitulacja elit. To jest sprawa ciągnąca się od dwu pokoleń, chociaż nadal niejasno widziana. Nasi okupanci niemieccy i sowieccy wiedzieli, co robią, kiedy ze staranną nienawiścią wybijali elity. Tylko kiedy się mówi o elitach ma się zwykle na myśli inteligencję. Otóż moim zdaniem nie mniej ważny jest fakt, że wybito i zniszczono innymi sposobami elity przywódcze wśród chłopów, robotników i

rzemieślników. To byli ci, którzy stanowili bezpośrednie wzory dla swojego otoczenia. Wśród nich było najwięcej ofiar w okresie stalinowskim. I te właśnie elity najstarannie i najskuteczniej rozbijano w stanie wojennym. Częściowo znalazły schronienie za Atlantykiem, i tam osiągnęły sukcesy życiowe – ale w Polsce ich zabrakło i to się dzisiaj odbija.

FS: Wróćmy do Conrada. Co z twoim projektem muzeum w Berdyczowie, gdzie się urodził?

ZN: Wiesz, to pytanie równie aktualne jak bolesne. Jakiś czas temu ogłosiłem (w „Rzeczypospolitej”) w imieniu Polskiego Towarzystwa Conradowskiego list otwarty, stwierdzający, że musimy zrezygnować z planów. Mimo wielokrotnie deklarowanego poparcia kół rządowych w Kijowie, naszego rządu, ambasad brytyjskiej i francuskiej, itd., władze miejscowe od pięciu lat skutecznie blokują naszą inicjatywę. Ciężko idzie na Ukrainie; dość wspomnieć muzeum Słowackiego w Krzemieńcu, którego otwarcie jest od lat odkładane – mimo finansowania przez rząd RP. Ciężko idzie. Z Litwą dokonaliśmy przełomu, są wspólne sesje sejmów (litewski nazywa się „sejmas”) – a na Ukrainie trzeba się ciężko borykać. Ale próbujemy.

Od redakcji: Muzeum Józefa Konrada Korzeniowskiego w Berdyczowie, dzięki wielkiemu zaangażowaniu prof. Zdzisława Najdera oraz Polskiego Towarzystwa Conradowskiego udało się otworzyć w 2015 r. Oto wypowiedź prof. Najdera na ten temat dla Polskiego Radia:



FS: Czy *casus* Conrada może posłużyć emigrantom polskim rozsianym po świecie za pomocny drogowskaz?

ZN: No wiesz, geniusze, wielcy ludzie, rzadko mogą służyć za praktyczne drogowskazy. Choćby dlatego, że są z zasady wyjątkowi. Chyba, że działają w ramach zbiorowości; ale już taki Norwid mógł być „drogowskazem” tylko w sensie intelektualnym.

FŚ: A w sensie osobisto-duchowym?

ZN: W takim prywatnym sensie Conrad, który żył w cieniu pamięci o rodzicach, którzy wszystko poświęcili dla Polski, i zarazem aż do roku 1918 w cieniu przekonania, że sprawa polska jest na zawsze stracona – uczy nas, że choćby świat dokoła stawał się nieznośny, trzeba robić swoje, trwać przy zasadach, szukać sensu życia we własnej pracy. No ale takie nauki są dla

nas, dla ciebie Florianie i dla mnie, łatwiejsze niż dla innych – bo zawsze możemy znaleźć ucieczkę w naszych książkach.

Zdzisław Najder. *Sztuka i wierność. Szkice o twórczości Josepha Conrada*, Uniwersytet Opolski 2000 r.